Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 16 października 1938 r.* Nr. 42

JESIENNY DZIEŃ



Powiały wichry jesienne...
Hej, rozjękliwe, żałosne!...
I mrozem, jak tchnieniem śmierci,
Powiały na moją wiosnę.

Sczerniałe leżą badyle...
Wicher zwiał kwiecia korony!.
W serce zmęczone i smutne
Ból wpija drapieżne szpony.

Pocóż ci było, o wiosno!
Stubarwnym kwieciem zakwitać?
Pocóż ci było, o serce!
Swych marzeń o szczęście pytać!.

Irena Strzemię-Pieczkowska

ADAM CZEKALSKI

4)

Hollywood

POWIEŚĆ

To Roger Wilson szlachetny, romantyczny i wierny, a zarazem mocny, rycerski mężczyzna. Z nim stoi Monty Gobert, miły, subtelny, dowcipny, dobrze wychowany, pełen kultury francuskiej. Nieco za nimi, z tyłu Bert Lawson, bożyszcze wszystkich miłośników kina, rozmawia z Gaby Bleekertem, typowym amerykańskim cavemanem. Człowiek ten może być bokserem, gangsterem, mordercą i porywaczem dzieci, ale gdy się uśmiechnie, zapomina się o jego brutalności. Poza tym jest to najlepszy syn wśród całej plejady gwiazdorów filmowych. Głęboko przywiązany do swych rodziców, odwiedza ich często w ich fermie i wtedy jest sobie zwyczajnym, bardzo przeciętnym i bardzo miłym małym Gabym.

I „chief instructor" informował Kaję w dalszym ciągu, przechodząc do nazwisk i ludzi sławnych, do nikomu nieznanych i powszednich, których jednak zaproszono tutaj z dobrym obliczeniem, że ludzie ci niezawodnie wypłyną z czasem na szerokie wody „sławy" filmowej, staną się głośni, a nazwisko ich będzie miało, może już w niebardzo dalekiej przyszłości, walor milionów dolarów.

W świecie filmu nie ma nic stałego, nic obliczonego na długi wiek. Tutaj wszyscy żyją etapami od jednego do drugiego nowowyprodukowanego filmu. „Gwiazdy" ekranu bledną i gasną nierównie prędzej, niż to się dzieje na firmamencie niebieskim. Oto np. Bert Lawson „Gwiazdor" jak się wydaje, tak sławny, że filmy z nim zdają się mieć niebylejaką trwałość. A jednak tak nie jest .Okazuje się, że gwiazda tego, pospolitego zresztą człowieka, który poza urodą ciała nie posiada żadnych innych nadzwyczajnych walorów, zaczyna blednąć. Filmy z Lawsonem nie robią już tak olbrzymich kas, jak na początku. Nakręcony w Londynie „Student" ma bardzo nikłe powodzenie. Tak jak lekarze na konsylium starają się znaleźć przyczyny choroby pacjenta, tak samo dyrektorzy konsorcjum badają przyczyny gaśnięcia gwiazdy Lawsona. „Studio" miało nadzieję zarobić na nim przynajmniej tyle, ile zarobiło na Blee Karze, t.j. około pięciu milionów dolarów. Jak dotąd jednak Lawson przyniósł zaledwie dwa miliony.



Nowy typ maski przeciwgazowej, dla koni został wypróbowany podczas wielkich ćwiczeń obrony przeciwlotniczej w Sztokholmie

O tym wszystkim doskonale wiedzieli przedstawiciele „Blackbee-Filmu" i już z góry starali się pozyskać sobie ludzi dzisiaj nikomu nieznanych, którzy jednak przez jedną noc mogą się stać gwiazdami, jaśniejącymi potężnym blaskiem na firmamencie dziesiątej muzy.

Ostatni gość przestąpił próg salonów Kai i wtedy malarka, odetchnąwszy z prawdziwą ulgą, szepnęła do ucha Kai:

— Prawdziwy „zjazd gwiazd", jak w planetarium na wystawie paryskiej. Tylko że tu nie ma Dużej, ani nawet Małej Niedźwiedzicy, ani Bliźniąt, ani Ryb, ani Koziorożca. Zdaje się, że ostatni gość zaszczycił twoje salony, droga moja, zatem chodźmy w krąg „gwiazd".

Kaja się zgodziła. Poszły do gości, którzy już zdążyli się pogrupować po dwie i więcej osób, rozmawiając i od czasu do czasu krzepiąc się napojami, które roznosili wyfraczeni i wygalowani lokaje. Panie przybyły, jak to słusznie przewidywała pani Cecylia, w toaletach wspaniałych, których wartość razem wzięta mogła stanowić wcale pokaźną fortunę. Były tu zatem poetyczne greckie tuniki z białego „chiffon'u", piękne toalety z morelowej cieniowanej żorżety, błękitne suknie haftowane strasami ;— dystyngowana czerń, błękitne adamaszki zdobne brylantowymi gwiazdami, toalety z różowej lamy, szafirowe płaszcze z rękawami, ozdoby ze złotych kwiatów, peleryny z czterech lub więcej niebieskich lisów, toalety obszerne i ściśle do ciała przylegające barwy jutrzenki, toalety z „chantilly cire", wykwintne czarne suknie z kwiatowymi przybraniami, pomysłowe suknie „mimozowe" z czarnego tiulu i także peleryny z wyhaftowanymi mimozami, słowem — sławne „star" i nikomu nie znane jeszcze przyszłe gwiazdy, których sława przygotowywała się w tyglu takiej czy innej wytwórni, przybyły tutaj na to prywatne „party", jak na jakiś galowy raut dyplomatyczny, z chęcią zabłyszczenia nawet i na tym małym, prywatnym odcinku, jak pragnęły błyszczeć w filmach, które dla nich już kręcono i kręcić miano.

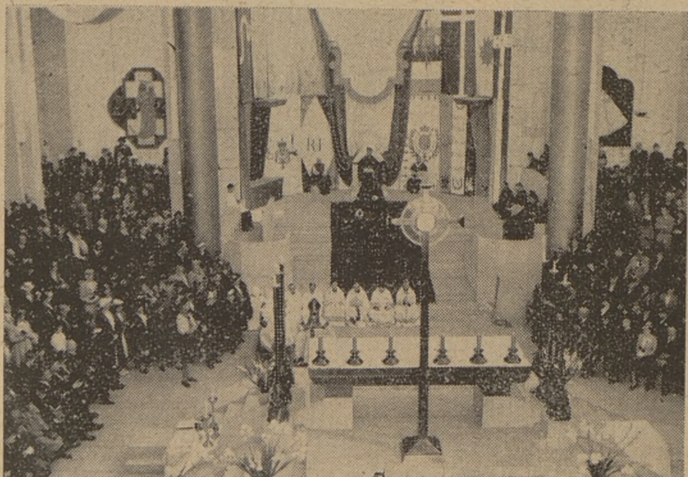
Z początku całe towarzystwo było bardzo sztywne i bardzo jakieś nieswoje. Widać było, że wśród panów w nieposzlakowaną czerń fraków przybranych, panował jakiś dziwny przymus, jakaś sztuczność, jakby ci wszyscy ludzie, którzy z taką swobodą poruszali się na filmach według przepisów scenariusza, tutaj nie wiedzieli co z sobą po prostu począć, gdzie podziać ręce, nieraz zbyt wielkie, rozrosłe, jak bochny kilowego chleba. Galowy ubiór wydał im się w wielu wypadkach jarzmem, które ugniatało.

Ot, choćby wziąć tego oto pierwszego z brzegu „gwiazdora". Jest to mężczyzna piękny jak Apollo belwederski. Dla niego to pewien humorysta nowojorski sporządził taki paszport: nos — orli (100 proc), oczy — uwodzące i magnetyczne 15 amperów, usta — zmysłowe, serce — elastyczne, umysł — zanikły, kultura — nie ma jej wcale, znaki szczególne — pożera 4.000 listów miłosnych od kobiet co tydzień.

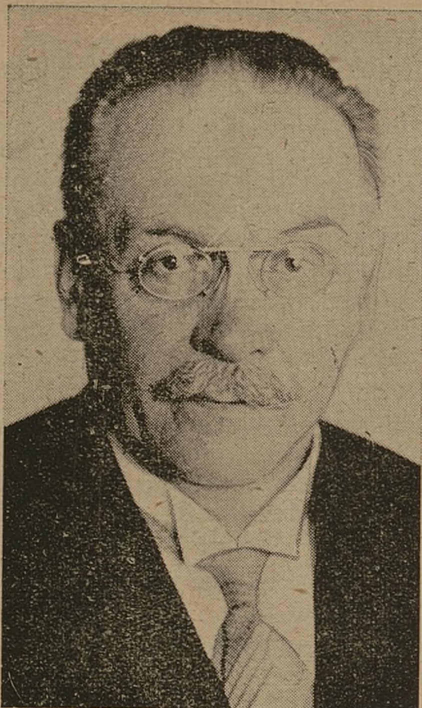
Ów „gwiazdor" był kiedyś cowboyem. Do niedawna jeszcze uważał Cyrce za wulkan, a panią Pompadour za girls z zespołu Ziegfelda. Jest to poza tym porządny chłopiec, w miarę cyniczny i sentymentalny, rozrzutny i zawadiacki. Po skończonej pracy w studio pija na umór i wygłasza długie tyrady na temat kobiet. Jest to mr. Charles Sfiwt.

Teraz stoi bezradny i próbuje swoją niezaradność i pomieszanie ukryć w hałaśliwej rozmowie i głośnych wybuchach śmiechu. Od czasu do czasu sięga do tacy, na której stoją duże kieliszki napojów wyskokowych, bierze jeden z nich i wlewa do gardła. A gdy już wszystkie kolejno wypróżni, lokaj oddala się z próżną tacą do bufetu i za chwilę wraca z nową porcją.

Pan Quince, maleńki, pucułowaty, z głową jakoś jakby specjalnie jeszcze dzisiaj wydłużoną w ostry czub ku górze, drepcze przed nim i próbuje zabawić go rozmową. Dokoła nich grupują się coraz



W całej Europie, wobec grozy położenia politycznego, odbywaja się w kościołach modły błagalne o pokój.



Sędzia Sądu Najwyższego, Giżycki, mianowany został generalnym komisarzem wyborczym.

liczniej mężczyźni i, słuchając głośnych wybuchów śmiechu aktora, chwilami wtórują mu.

— Ach, te baby! — woła w pewnej chwili nowoczesny Apollo. — To istny dopust Boży. Nie dają mi spokoju. Wytłumaczcie mi, moi drodzy, dlaczego bombardują mnie ciągle listami miłosnymi?

— Bo jesteś piękny — odpowiada na to z sarkastycznym uśmiechem Abalone.

— Mało to pięknych mężczyzn?

— No tak, ale ty wprawiasz je w trans, ukazując się na ekranie jako toreador, korsarz lub huzar... Stałeś się w ich pojęciu człowiekiem o stu twarzach...

— Pomyślcie! To przecież koszmarne: 4000 listów tygodniowo! Muszę 4000 razy podpisać moją fotografię, moją fotograficzną fizjognomię: „Yours sincerely". Patrzeć nie mogę na te fotografie. Dostaję mdłości na ich widok.

— Czy nigdy nie chciałeś poznać którejś z tych wielbicielek? — zagadnął doktor Lawson.

— Owszem. Trzy lata temu naznaczyłem randkę pewnej nieznajomej, która dołączyła do listu prześliczną fotografię. Gdy przyszedłem na miejsce, zobaczyłem pięćdziesięcioletnią babę, śmiejącą się do mnie szczerbatymi zębami. Od tego czasu strzegę się tych wszystkich nieznajomych, które błagają mnie o redez-vous. Gdy są zbyt natrętne, posyłam mojego sekretarza Nr. 3, który jest trochę do mnie podobny. Biedaczek! Wije się jak potępieniec. Ma przecież jednocześnie 36 romansów. — Wczoraj prosił mnie o dwa tygodnie urlopu, bo chce uciec w góry, żeby trochę wypocząć. Jest zanadto sumienny...

Kaja słuchała tych cynicznych wyznań z wyraźnym niesmakiem. Zacięła usta mocno, jakby gniewnie, a oczy jej błyszczały przedziwną zielenią, jak gdyby zwykły błyszczeć wtedy, gdy ją coś bardzo poruszało.

Murzyńska muzyka uderzyła w główny akord jakiegoś dzikiego foxtrota i pary zaczęły ruszać się do tańca. Doktor Lanstown skłonił się przed Kają.

— Właściwie powinienem ustąpić pierwszeństwa młodszym i urodziwszym — tłumaczył się — sądzę jednak, że pani nie odmówi staremu i otworzy dzisiejsze „party" tańcem ze mną.

— Najchętniej, doktorze — uśmiechnęła się niewyraźnie Kaja. — Dobrze pan postąpił, prosząc mnie do pierwszego tańca.

Ruszyli w krąg tańczących świetnych par.

— Doktorze — szepnęła w pewnej chwili Kaja — czy pan słyszał, co ten... „gwiazdor" przed chwilą opowiadał?

— Tak, pani.

— Czy to prawda?

Gorzki uśmiech wykwitł na wargach poważnego eskulapa.

— Niewątpliwie tak. Człowiek ten istotnie przeżywa owe męki listowe, jakie mu zadają jego wielbicielki.

— Ależ to jest bezgraniczna głupota ze strony owych autorek listu!

— Trudno nie zgodzić się z pani opinią. Niech się pani jednak pocieszy, że i wampy filmowe w rodzaju Grety Garbo czy Marleny Dietrich, otrzymują również tysiące listów miłosnych, które tchną nieprawdopodobną głupotą. Własnoocznie miałem sposobność przekonać się o tym. Gdy się czyta niektóre listy dwunożnych stworzeń, uważających siebie za panów świata, ma się szaloną ochotę uciec najbliższym pociągiem międzyplanetarnym na Mars... I pani to będzie przechodzić, zapewniam... Gdy tylko ukaże się na ekranie pierwszy film z panią, gdy zrobi furorę, jak to przewidzieć można, głupiutcy mężczyźni zarzucą panią listami, tysiącami listów i wtedy poczuje pani taką samą ochotę uciec.

— Nie sądziłam, że kobiety mogą być do tego stopnia już nie tylko naiwne, ale poprostu głupie.



— Pschaw! Czy pani myśli, że tylko kobiety kochają się w „gwiazdorach"? O, nierównie głupi są również i mężczyźni... Wszak słynna megiera Veber, która popełniła szereg ohydnych zbrodni, otrzymała w więzieniu setki listów miłosnych od „przyzwoitych panów", cieszących się najlepszą „opinią".

Muzyka urwała i pary zaczęły rozsiadać się po różnych zakamarkach i kącikach. Dopiero się według znajomości, upodobań i wspólnych cech wzajemnych. Lokaje krążyli nieustannie po sali z tacami pełnymi kieliszków, a niezależnie od tego przy bufecie panował ścisk i tłok. Atmosfera rozluźniła się, nagrzewała, humory się poprawiały, chwilami wybuchały głośne śmiechy męskie i chichoty kobiece. „Party" zapowiadało się doskonale.

Mister Quince, zgrupowawszy w jednym kącie wszystkich zaproszonych na dzień dzisiejszy dziennikarzy, raczył ich przeróżnymi wódkami i opowiadał swoim zwyczajem nieprawdopodobieństwa ku sławie miss de Rieth. Dowiedziawszy się, że Kaja maluje trochę, zrobił wnet z niej jedną z największych malarek belgijskich, potem przerzucił się na Kongo i opowiedział reporterom najdziwniejsze pod słońcem bajeczki o jej łowach w Afryce, niepospolitej celności w strzelaniu i szalonej odwadze. A wszystko w tym jego opowiadaniu było największe, najwspanialsze i w ogóle „naj" i „naj". W mniemaniu i opowiadaniu pana Quince, Kaja posiadała wszelkie możliwe wśród ludzi zalety, wyzuta natomiast była z jakichkolwiek, choćby najdrobniejszych wad.

Abalone krążył po sali w towarzystwie sekretarza Kai, pana Tear'a i czuwał nad całością, nie biorąc kropli alkoholu do ust. On jeden powinien był zachować tutaj trzeźwy umysł i roztropność. Tear, młody malarz angielski, który przybył do Stanów



Marszałek Śmigły-Rydz odbiera defiladę armii wołyńskiej w Łucku.



Scena z ćwiczeń obrony przeciwlotniczej wnętrza fabryki

w celach naukowych i przypadkiem tylko dostał się na stanowisko sekretarza przyszłej „star", w ogóle alkoholu nie używał.

Pani Cecylia przechadzała się pod ramię z Rogerem Wilsonem, dyskutując z nim na temat swojego zamierzanego wyjazdu do Afryki po nowe okazy orchidei. Przyjaźń między tymi dwojgiem datowała się od lat kilku i była tak harmonijna, iż jej nic nie zdołało zakłócić.

— Cieszyłabym się bardzo, Rogerze, gdybyś i ty wybrał się ze mną na połów tych królewskich kwiatów — mówiła miss Cecylia. — Zobaczyłbyś inny świat, piękniejszy i żywotniejszy, niż wszystko to, co widzisz w studio.

Roger uśmiechnął się jednym z tych swoich zadumanych i rozmarzonych uśmiechów i odrzekł zwolna:

— A wiesz, Cecilie, że mam na taką eskapadę szaloną ochotę.

— No to już, Roger, jedźmy tam.

— Niestety, kontrakt trzyma mnie tu i nie mogę się ruszyć przed ukończeniem dwóch dalszych filmów. Za jakieś pół roku może dopiero będę wolny.

— Szkoda.

Muzyka zagrała tango. Roger skłonił się przed miss Cecylią i powiódł ją w taniec. Kaja tańczyła teraz z Mounty Gobertem, wiodąc jednocześnie bardzo ożywioną rozmowę na temat Europy, sztuki tamtejszej i spraw bieżących. Mounty interesował się wszystkim i z mowy jego wyczuć można było, że tęskni za starym światem, w którym wszystko wydaje mu się o wiele lepsze, doskonalsze i godniejsze większej uwagi. Inteligentny, wykształcony, doskonale wychowany i kulturalny, zajął z miejsca Kaję swoją rozmową błyskotliwą i barwną, toteż ani się spostrzegła, jak taniec się skończył i musieli wrócić na miejsca.

A przy bufecie huczało już i wrzało, jak w ulu. Teraz nie kontentowano się już kieliszkami, które nieustannie roznosili lokaje ale dobrano się do flaszek i rozpoczęło się dość ponure pijaństwo przybranych we fraki byłych kelnerów, szoferów i cowboyów, którym o ileż bardziej odpowiadała ta swoboda od dystynkcji, jaką zmuszeni byli zachowywać w pierwszych minutach swojego pobytu tutaj.

Czuwający nad wszystkim „Oko-człowiek", alias mister Spencer Abalone, skinął na jednego z lokajów i donośny dźwięk gongu oznajmił, iż należy przejść do sali jadalnej, gdzie czekało na gości wystawne przyjęcie.

Ruszono się więc z miejsc pojedyńczo, parami i gromadnie, z kim kto stał i z kim rozmawiał. Drzwi jadalni otworzyli dwaj liberyjni niewolnicy, czarni jak heban, z ogromnymi krzywymi mieczami tureckimi na ramionach.

Szum, rozgwar, wybuchy śmiechów mężczyzn i kobiet, donośne słowa, dość frywolne i niezbyt dystyngowane wypełniły zarówno salon, jak i salę jadalną.

Mounty, prowadzący Kaję pod ramię, zauważył w pewnej chwili po francusku:

— Les jours se suivent et ne se ressemblent pas... Cóż by powiedzieli ludzie osiemnastego wieku w starej Europie, gdyby im tak danem było zobaczyć, w jaki sposób ich potomkowie w nowym świecie podążają do stołu!

— Le style c'est l'homme. Nie można się dziwić tym ludziom. Nikt nie staje się przez jedną noc markizem z pastucha bydła czy koni.

— Słusznie. Lecz ten widok, jaki pani w tej chwili ma przed oczami, to jeszcze nic, to tylko niewinne igraszki rozigranych dzieci. Clou dzisiejszego „party" dopiero się rozpocznie gdzieś koło północy.

— Czy to będzie coś takiego według tutejszej nouveau jeu?

— Coś w tym guście... Ale siadajmy tymczasem.

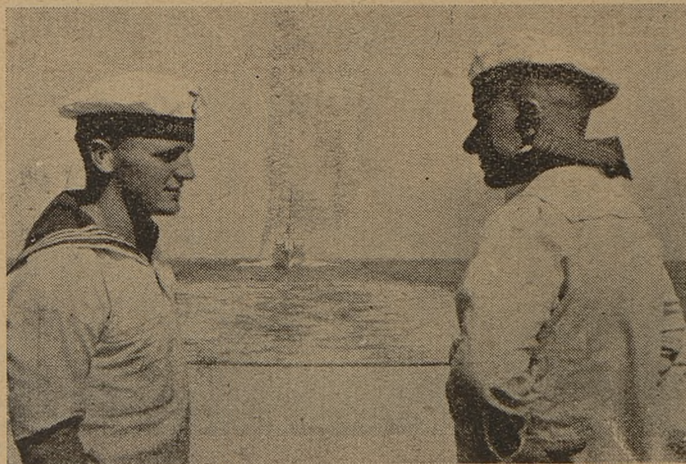
Miejsca wprawdzie poznaczone były dla wszystkich gości i lokaje czuwali nad tym, aby każdy zajął miejsce sobie przeznaczone, ale że już niektórzy dobrze byli podchmieleni, siadali więc gdzie padło, gdzie najbliżej spostrzegli wolne miejsce, nie dbając o porządek. Szczęściem, Kaja z Mountym znaleźli się wśród gwiazd i gwiazdorów trzeźwych zupełnie i dobrze ułożonych, nie będąc zmuszeni wdychać odorów alkoholu, który już buchał z niektórych ust pomniejszych kapłanów dziesiątej muzy, niby z gorzelni.

— Odi profanum vulgus et arceo — odezwał się przysłowiem łacińskim Roger Wilson. — Niestety jednak, człowiek zmuszony jest w wielu wypadkach robić ustępstwa własnym zasadom.

— Mylisz się — przeciął Gaby Bleeker — na szkodę własnych zasad nie powinno się nigdy działać, inaczej można zejść na takie manowce, iż można stać się przemytnikiem, porywaczem dzieci, a w końcu skończyć marnie żywot w doskonałym hotelu publicznym, zwanym Sing-Sing.

W tym miejscu ozwał się znowu gong i z bocznych drzwi wyszła procesja lokajów, niosąc na półmiskach pierwsze dania. Na uboczu stał mister Tear i bacznym okiem pilnował wszystkiego, czuwając, aby wszystko odbywało się tak, jak przewidywał ustalony z góry regulamin.

Abalone'a nie było w sali. Znajdował się w tej chwili gdzieś w dalszej części pałacyku, dokąd wezwał go mister Might.



Piękne zdjęcie z manewrów torpedowców niemieckich na Bałtyku

Cały obiad wyreżyserowany był doskonale. Nic się tu nie działo bez z góry określonego planu, żadne danie nie wjeżdżało na stół przed wyznaczonym mu czasem, było podawane w przepisanym czasie i porządku, słowem, szanowny „chef instruktor", mając do pomocy nieocenionego mister Mighta i młodocianego arystokratę angielskiego Teara oraz paru jeszcze maitre d'hotel, których wytwórnia utrzymywała na wyłączne swoje usługi, wyreżyserowała całe przyjęcie bez najmniejszego zarzutu, jakby na scenie filmu.

Pod koniec obiadu wtoczono kilka aparatów filmowych i rzuciwszy oślepiające światła jupiterów na ucztujących, zaczęto dokonywać zdjęć, ale wszystkie one koncentrowały się dokoła Kai, albowiem wytwórni „Blackbee-Film" chodziło wyłącznie i jedynie o to, aby jej przyszła gwiazda została zdjęta w towarzystwie najpierwszych gwiazd innych wytwórni. Takie zdjęcia, opłacone wysokimi sumami i rzucone na łamy najrozmaitszych pism, podniosą z kolei jeszcze bardziej mniemanie w tłumach, że miss Kaję de Rieth lansuje się na pierwszoplanową gwiazdę nie bez racji.

Wreszcie znowu dźwięk gongu. Zaczęto wstawać od stołu i przenosić się na powrót do salonu i bocznych pokoi, przeznaczonych na wypoczynek dla „miłych" gości. Muzyka murzyńska powitała wracających biesiadników wrzaskliwą „cariocą", pary ruszyły wnet w tany, niektórzy, hołdujący alkoholowi i nie mający go jeszcze dosyć, ruszyli szturmem do bufetu, zdobywając jego zawartość w postaci nieprzeliczonych bateryj wszelkich barw i smaków wódek.

I od tej chwili rozpoczyna się dopiero „właściwe" party. To wszystko, jak słusznie zauważył Mounty, co było dotąd, było zabawką dziecinną. Było bowiem w zasadzie u wszystkich gwiazd i na wszystkich przyjęciach, że biesiadnicy już w samym początku „party" powinni się byli upić do nieprzytomności prawie. W tym domu nie praktykowano tego chwilowo, jako że był to dom prawie obcy, bo dom kobiety nie należącej jeszcze w całej pełni do „society" artystycznej i nie uznanej za pierwszoplanową „star". Panowała więc na wstępie pewna sztywność, wstrzemięźliwość i chęć pokazania dobrych manier. Lecz teraz, kiedy już alkohol temu i owemu szumiał nieco w głowie, kiedy szalone tony niemniej szalonej murzyńskiej „carioci" wypełniły wszystkie zakamarki zacisznego pałacyku Kai, zapomniao naraz o wszystkich przepisach savoir-vivre'u, o wszelkich bon-tonach i rzucono się na zawartość bufetu z zajadłością.

Rozpoczęło się naprawdę bezmyślnie i ponure pijaństwo, które z kwadransa na kwadrans przeradzało się w jakąś orgię bachiczną, w jakiś szał pół-ludzki, gdzie nikt nikogo nie szanował, gdzie ciała mężczyzn i ciała na pół obnażonych kobiet walały się pospołu na miękkich poduszkach, rozłożonych na podłodze, na kozetkach i kanapkach, a często wprost na nagich deskach podłogi. Niektórzy z aktorów, nie hołdujący podobnym bachanaliom, zaczęli się dyskretnie wynosić. Pożegnał zatem Kaję Bleeker, uściskał jej dłoń Gobert Lawson, odeszły co znaczniejsze aktorki, ale została na miejscu jeszcze wielka liczba ludzi, którzy teraz, wyzuwszy się pod wpływem alkoholu z tych resztek kultury, w jaką wprzęgły ich scenariusze filmowe, pili na umór, tańczyli coraz szaleńcze tańce, rzucali pustymi butelkami na wszystkie strony, lali wino i wódki za dekolty aktorek, jakby w ten sposób pragnęli wyrazić całą swoją pogardę ludzi pierwotnych do wszelkiej kultury.

Kaja, wciśnięta pod jedną z palm, trzymała się kurczowo ramienia Cecylii i rozszerzonymi źrenicami przyglądała się tej orgii, jaka rozgrywała się na jej oczach. Była tym widokiem nie tylko bezgranicznie zdumiona, ale wprost przerażona.

— Miss Cecylio, czy to... to zawsze tak się odbywa?

Malarka, dla której zakończenie każdej „party", „gwiazdy" czy „gwiazdora" filmowego w podobny sposób nie było wcale nowością, uśmiechnęła się tylko ze smutkiem i odrzekła:

— Droga moja, nie przejmuj się tym zbytnio, ale jeśli razi cię ten niemiły, bądź co bądź, widok, odejdź do siebie i zamknij się na siedem spustów. Panowie Abalowe, Tear, Growe, Quince i inni dotrzymają towarzystwa temu... towarzystwu, a potem pozbędą ich się w swoim czasie. Takie upijanie się na śmierć, taka ponura „zabawa", w ogólności należy do dobrego tonu tych ludzi. Cóż chcesz, moja droga, nie można wymagać wysokiej kultury od ludzi, którzy jeszcze wczoraj byli pastuchami, lokajami, szoferami i pomywaczami w restauracjach i barkach. Scenariusz filmowy oszlifował ich nieco, ale nie mógł im wszczepić kultury, bo tę trzeba nabyć przez długie lata.

— Ależ to jest potworne!

— To jest tylko taka tutejsza... moda.

— Moda chyba kanibalów nazwy godna.

Kaja nie zamierzała chwilowo posłuchać rady miss Cecylii i została na miejscu. Ta scena ponura, scena pijaństwa, jaką miała przed sobą, po prostu hipnotyzowała ją, przykuła do siebie.

Wtem ów aktor o kształtach Apollina belwederskiego, wskoczywszy na jakieś podwyższenie, wzniósł obie ręce, uzbrojone w dwie potężnych rozmiarów butelki do góry i zaczął wołać zachrypłym, pijanym głosem:

— Halo, przyjaciele — bawcie się, póki życia starczy! Niech żyje „bottle parties"!

I pochyliwszy się nad jedną z aktorek, którą zamierzał pocałować, stracił równowagę i runął z łoskotem na podłogę. Towarzysze podchwycili go natychmiast i postawiwszy na nogach, pociągnęli do bufetu.

— Madame — pochylił się wytworny pan Tear do Kai — czy pani nie zechce odejść stąd? Zabawa zaczyna wkraczać na tory niepożądane.

Kaja nie dosłyszała nawet tych słów swojego sekretarza. Zapatrzona w sceny, jakie rozgrywały się przed nią, w te sceny ponure i wprost niesamowite, nadaremnie zadawała sobie pytanie, czy to wszystko możliwe. Czy ci wszyscy ludzie, którzy w tym drugim swoim życiu filmowym odgrywają tak często role dżentelmenów, szlachetnych obrońców, którzy w rolach swoich propagują najszlachetniejsze nieraz cele i zagadnienia — to ci sami? Nie chciało jej się to jakoś w głowie pomieścić. To wydało jej się zupełnym niepodobieństwem! To musi być jakaś straszliwa, makabryczna wprost pomyłka. Miała ochotę krzyknąć, ile sił w płucach, aby otrzeźwieć, przyjść do przytomności, bo jej się zdało, że śni jakiś sen potworny i groźny.

— Kaju, Kaju! — zawołała naraz miss Cecile. — Oprzytomnij, dziecko.

Istotnie, Kaja wyglądała, jak nieprzytomna, albo jak pijana, chociaż prócz niewielkiego kieliszka wina, nie miała w ustach jednej kropli więcej jakiegokolwiek alkoholu.

— Cecile, Cecile... Wyprowadź mnie stąd, wyprowadź, kochana...

Miss Cecile ujęła silnym ramieniem przyjaciółkę i powiodła ją do tej części mieszkania, gdzie znajdował się zaciszny salonik Kai, przeznaczony tylko dla niej samej i dla najbliższych przyjaciół. Młody Alfred Tear szedł za nimi z głową spuszczoną na pierś, ponury i wściekły po prostu na tych dzikusów, ubranych we fraki, którzy tam za nimi szaleli.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Symfonia jesienna

Wszystko więc się spełniło,
to, co się spełnić miało —
prócz ciszy jesiennych dostojeństw,
nic więcej mi nie zostało ..

Oprócz tej wąskiej ścieżyny,
którą wraz z życiem przemijam,
a którą mogę nazwać
moją .. czy też niczyją... —

Jakieś przedziwne drżenie
w człowieku czasem się błąka —
jedyną prawdą — prostoty,
to rdzawy szmaragd łąki...

Wszystko się więc spełniło,
to, co się spełnić miało —
i nie pamiętam, czy więcej
nad to, że jestem...
— zostało.
— — — — — — — —
Wszystko już przecież się spełniło
w wieczorny czas —
Noc granatowa, drzemiąca ciszą
zapada w nas...

Józef Baranowski.

PIOTR ŁASTÓWKA.

Ślubowanie przy wodospadzie

Szczęście jest jako ptak lękliwy i płochy. Ciepłą trzeba poń rękę wyciągnąć, by nie odleciało wówczas, kiedy je przy sobie najgoręcej mieć pragniemy.
St. Spyra: „Szczęście nad urwiskiem".

Słońce kładło swe złociste strzały na czubach drzew parku Paderewskiego. Cichość kończącego się dnia obejmowała wszystko wokół. Nastrój pragnień miłosnych, połączony z ciężkim zapachem kwitnących lip, nasycał powietrze niewysłowionym czarem szczęśliwości.

Helena i Wiesław szli zaciszną aleją, przejęci panującym nastrojem. Tęga radość przelewała się w ich sercach, jak nieokiełznany górski potok. Po długich miesiącach nieporozumień, oddalań się wzajemnych i niepewności spostrzegli nagle, że jednak miłość ich jest szczera i niepowinni jej zaprzepaścić pod groźbą wzajemnego unieszczęśliwienia się. To był ich pierwszy dzień, dzień radosnego odkrycia. Opinia, ustrój społeczny i prawo kościelne nie pozwalały im się połączyć tworząc nieprzebyte zapory. Gryzł ich ukryty żal, że nie odkryli się wcześniej, bo teraz już byliby niezawodnie połączeni na zawsze. Męczyła ich sytuacja, kładąc się ciężką chmurą na ich całej przyszłości. Tylko chwilami zapamiętywali się w pieszczotach, zapominali o wszystkim, co ich szczęście burzyło, i śnili swój niedorzeczny napozór sen.

— Czemuś to zrobił? — pytała z lekim nibywyrzutem a w głębi serca przejęta świadomością, że to, co się stało jest już niecofnięte.

— Tak, prawda, źle zrobiłem — przyznał się cicho Wiesław — ale, pamiętasz, byłaś dla mnie tak chłodna i niedostępna, a gorąco marzyłem o tym byśmy stworzyli sobie wspólne szczęście.

— Wierz mi — odpowiedziała Helena — że tak samo czuję, jak ty. Nie przypuszczałam, że uczucie nasze rozgorzeje tak bujnym płomieniem. Widząc moją udaną obojętność, rychło zrezygnowałeś, odsunąłeś się na dłuższy czas. Boleśnie zraniła mnie nagła wiadomość, że uczyniłeś to, co stanęło na drodze naszego szczęścia.

Wiesław zamyślił się. Szukał słów pocieszenia, wyjaśnień, usprawiedliwień i obrony swego postępku. Znalazł tylko jedno stwierdzenie, że to nie on był winien. Gdyby wtedy objawiła choć odrobinę wzajemności, byłby poczekał w tej gorącej nadziei, że kiedyś, kiedyś zdobędzie ją dla siebie. Byłby robił wszystko, by ten okres czekania zakończyć pomyślnie.

Usiedli nad jeziorkiem. Na wzgórzu bielała ściana brzozowego zagajnika. Ręką ludzką zbudowany wodospad, wybiegając z pomiędzy pni, toczył swe wody, które rozpryskując się po kamieniach, grały w ich sercach najcudniejsze melodie miłosne.

Szara godzina przędła się w czarującej zadumie. Pachniały lilie wodne i kaczeńce. Zakątek był cichy, rajsko słodki i przytulny. Siedzieli obok siebie milcząco. Nastrój wiszący w powietrzu wypłoszył



W czasie jazdy na pole wyścigowe w Auteuil pod Paryżem spotkał się zawsze jeszcze modny, jeżeli chodzi o wyścigi konne, powóz zaprzężony w czwórkę koni, z nowoczesnym samochodem.

ich wszystkie dawne przykre myśli, żale i gorzkie cierpienia. Zmilkły wypowiedziane sobie słowa, rozpłynęły się i zasnuły niepamięcią.

Była to jedna z tych chwil, kiedy niepamiętali o swojej sytuacji, a kradli mknące obok nich szczęście, nasycali się nim i poili na długie dni tygodnia, kiedy znów musieli wrócić w przykrą i ciężką rzeczywistość.

Chciwie chłonęli wszystek czar przemijających minut. Byli bardzo spragnieni siebie. Władysława podświadomie przejmowało zdumienie, że ona, kiedyś tak chłodna dla niego, niedostępna i nieugięta, teraz oddawała mu się cała w nieokiełznanym porywie uczucia, — szczerze i otwarcie. Zrozumiał, że teraz ich miłość dojrzała już całkowicie.

Ramię jego cichym i pieszczotliwym ruchem sunęło po jej plecach. A ją przeniknęło słodkie spodziewanie pieszczoty. — Skłoniła się ku niemu, jak gibka młoda brzoza.

Owionął go zapach otaczających jej głowę. Delikatny puszek na jej twarzy prosił o pieszczotę, a wargi kusiły obietnicą słodyczy i upojenia. Miał ją przy sobie w ramionach, na piersi — cóż więcej mogło go jeszcze obchodzić!...

— Pamiętasz co ci pisałem? — spytał cichutko Wiesław. — Kwiecie mój! Ty jesteś biała i świeża, jak ogród pełen wiśni kwitnących. Usta twoje są czerwone i słodkie, jak poziomki ukryte pod trawą. Ciało twoje pachnące, jak zieleń, na której pasą się sarny.

Helena łowiła te słowa, jak najcudniejsze melodie, które tylko kochające nad miarę serce mężczyzny może wyśpiewać ubóstwianej kobiecie.

Roztęsknionymi oczyma patrzyła na kwieciste klomby, rosnące tuż przed nimi i na wodę jeziorka, ujętą obramieniem zieleni.

Usta jej same bezwiednie skłaniały się ku jego wargom.

W tym pocałunku, który trwał króciutko, zamknęli najświętsze ślubowanie swych serc i wieczne przymierze.

Ona ujęła jego dłoń i zaczęła szeptać:

— Nie wolno nam być szczęśliwymi wobec ludzi. Zamkniemy swą miłość głęboko. Nie obchodzi mnie to, że jesteś związany węzłem małżeńskim. Kocham cię takim, jakim jesteś w tej chwili i proszę byś kochał mnie i ty. Przyrzekam ci, że już żaden mężczyzna nie obejmie mnie, nie dotknie ust moich. Zostanę w tym stanie na zawsze i będziemy pielęgnować swe szczęście, swój nadroższy skarb, który przyszedł do nas tak późno. Chcę być dla ciebie tym, co wymarzyłeś sobie w gorących pragnieniach, tęsknotach rzewnych i dążeniach.

Wiesław ucałował jej dłonie w najgorętszym pożegnaniu.

Było już późno. Podnieśli się z ławki i skierowali ku wyjściu. Jeszcze nigdy w życiu nie widzieli parku tak pięknym. Serca ich śpiewały najradośniejszy hymn odzyskanego szczęścia, które zdawało się dla nich być już niedostępnym. Ujęci pod ramiona szli lekko, płynnie, jak uosobienie młodości, którą nawiedził najcudowniejszy ze snów: — sen o wielkiej miłości.

Niebawem pochłonął ich ruch ulicy.

W bramie domu pożegnali się czule pocałunkiem, który unieśli w sercach swoich, jako talizman zapewnienia i żywe szczęście na cały długi czas rozłąki...

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Główny aktor dramatu staje się odtąd statystą, lecz ożywiony jakąś potęgą ciemności, jakąś wyniosłą i nadludzką siłą będzie skupiać wokół siebie wszystkie sceny tragedii, zacieśniające się w nierozerwalny krąg dookoła tej najważniejszej, wciąż nieobecnej, lecz wiecznie trwającej postaci. Nieubłagany los obali cesarstwa, zburzy trony, zrani śmiertelnie serca możnych tego świata, wstrząśnie ich sumieniami, a gdy wreszcie wszystko się rozegra do ostatniego aktu, duch Karoliny wyzwoli się ze straszliwego chaosu i wzniesie się w zaświaty, okryty milczącą wielkością.

Cesarzowa bez tronu, matka bez dziecka, królowa bez ziemi, małżonka bez męża zamknie Meksyk, kraj swych marzeń wśród murów starego parku; odtąd cesarstwo jej, w którym będzie wciąż przebywała z duchem swego małżonka jest w Tervueren, a Karolina, jakby na czyjś tajemny rozkaz, jakby spełniając nieodwołalne wyroki losu będzie bezwiednie kierowała ze swego niewidzialnego tronu przeznaczeniem, aż się dopełni wszystko, co zostało nakazane przez ukryte moce.

* * *

Mroźna i smutna zima objęła lodowatym ramieniem park w Tervueren, ziemia okryła się twardą jednobarwną powłoką; stare buki drżą pod chłodnym powiewem wieczornego wiatru. W dole, w ramach oszronionych trzcin, lśni tafla zamarzniętego stawu, na którym snują się gromadki łyżwiarzy, spoglądając z zaciekawieniem na głucho zamknięty pałac.

Karolina wyjeżdża niekiedy sankami na spacer poprzez ośnieżone aleje parku, patrząc w cichym zdumieniu na nieznane krajobrazy i na ludzi, chodzących po wodzie jak w biblijnych przypowieściach. W dali mała wioska flamandzka opiera swe strzechy o kraj lasu. Szare dymy biją w niebo, płonące purpurą zachodu.

Pewnej nocy cesarzowa budzi swą służbę strasznym krzykiem. Jakieś szatańskie zjawisko niosło jej we śnie truciznę. Przerażona Karolina wpatruje się w ciemność dzikim wzrokiem, drżąc na całym ciele. Wreszcie o świcie zasypia. Czy wie ona o tym, iż dziś, 20 stycznia, Maksymilian, rozstrzelany w Queretaro, powraca martwy na ziemię austriacką, by spocząć w krypcie kościoła Kapucynów? Czy wie, iż o tej wczesnej godzinie rozbrzmiewają w Wiedniu głosy dzwonów, a robotnicy, zdążający o świcie do pracy, kreślą pobożnie znak krzyża na widok ponurego orszaku, wiodącego na wieczny spoczynek w grobowcu z brązu szczątki tego, który nie miał prawa za życia powrócić do Austrii?

Do tego czasu stan zdrowia cesarzowej znacznie się poprawiał, zdarzały się nawet chwile zupełnej jasności umysłu, o czym świadczą listy jej otoczenia. Lecz wiosna 1868 roku napełniła ją znowu jakimś dziwnym niepokojem, a w rocznicę śmierci Maksymiliana, w dniu 19 czerwca, bez żadnego wiadomego powodu powróciły groźne objawy obłędu.

Noce nie przynoszą ukojenia Karolinie. Zmęczona okropnymi snami, budzi się o świcie i wsłuchuje się uważnie w pierwsze odgłosy dnia. Zamglone błyski padają na drzewa w alejach parku. Opalizujące światła przebiegają po niebie. To samo niebo co w Chapultepec! Karolina przymyka oczy: gdzie jest, co się z nią dzieje?

Ptaki witają chóralną pieśnią słońce, które zwolna wyłania się nad doliną Campinu, a może nad prowincją Zacatecas? Słychać koloraturowe pogwizdywania szpaków, które, jak mówią w Brabancji, zasypiają ostatnie, a budzą się pierwsze, rozbrzmiewają głosy piegży, drozdów, pliszek, wróbli, z którymi łączą się pokrzyki zięby, tak bardzo przypominające wołanie jakiegoś porannego ptaka w Cuernavaca. To dziwne, dlaczego nie słychać szczebiotu papugi?

Wśród tego wczesnego koncertu rozlega się dalekie skrzypnięcie otwieranych na rozścież wrót fermy. Wstaje słoneczny poranek czerwcowy, rozpraszając smugi mgieł nad stawem. Karolina wsłuchuje się w śpiew ptaków, który nasuwa jej wspomnienia lat dziecinnych, nie może jednak odnaleźć w nim dawnych tonów, psuje je jakiś nieuchwytny dysonans.

W 1868 roku Pius IX odmówił rewizji konkordatu z Austrią, o którą usilnie zabiegał Franciszek Józef. Nieubłagany papież ciska gromy z Watykanu, a katolicy drżą. Mimo to w Wiedniu przeprowadza się zmianę ustaw religijnych. Pius IX w szalonym gniewie orzeka, iż nowe prawa „są wysoce nieprzystojne, niemożliwe do uznania, sprzeciwiające się podstawowym zasadom wiary, konstytucji kościelnej, władzy Stolicy Apostolskiej, konkordatowi i prawom naturalnym". Kilkakrotnie zwołuje zgromadzenia wyższych dygnitarzy, którzy nie śmią zabierać głosu i oświadcza, iż nakłoni biskupów, księży oraz wiernych do oporu.

Wkrótce wyłania się sprawa proklamowania nieomylności papieskiej czyli uznania go za równego Bogu. Inicjatywie tej przeciwstawia się opinia społeczna we Francji, a wielki Montalembert zajmuje wręcz wrogie stanowisko wobec „teokracji i narzuconej dyktatury kościoła".

Dalsze wydarzenia następują po sobie w szybkiej kolejności wypadków; Garibaldi zostaje zatrzymany w marszu na Rzym, a po zdobyciu Monte Rotondo, pobity przez wojska Napoleona II w Montana, poczem chroni się w Varigano, by medytować o swych niepowodzeniach.

17 sierpnia 1870 r. oddziały francuskie, ochraniające Watykan, zostają nagle odwołane i wkrótce sytuacja staje się tak poważna, iż Wiktor Emanuel widzi się zmuszony do przeprowadzenia układów z papieżem, czego Pius IX jednak odmawia. Popędliwy naród włoski, oburzony postępowaniem Ojca Świętego organizuje burzliwe manifestacje, rozbraja pontyfikalnych żuawów i bierze do niewoli żandarmów, strzegących Watykanu. Płomień ogarnia całe Włochy; 11 września 1870 r. generał Cadrona przekracza granicę państwa papieskiego. Generałowie Kanzler i Zappi prowadzą oddziały papieskie, lecz niebawem muszą się cofnąć. Po czterogodzinnych zaciekłych walkach na ulicach Rzymu z żuawami, którymi dowodzi Charette, Pius IX wydaje rozkaz przerwania ognia i nakazuje wywiesić białą chorągiew w dniu 20 września.

Zgnębiony Pius IX rozmyśla z rozpaczą o zacieśniającym się łańcuchu nieszczęść i o przekleństwach Karoliny. Skończyła się już władza świecka papieży. Runął stolec Św. Piotra po osiemnastu wiekach potężnej władzy, a proroctwo: „Piotrze, ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję mój kościół, którego moce piekielne nigdy nie zwyciężą", proroctwo, w które Pius IX niezachwianie wierzył, straciło swą moc przez inne proroctwo, jakie się spełniło w ciągu kilku miesięcy zaledwie. Pius IX, najpotężniejszy dotychczas władca świata, został uwięziony w swym pałacu; okuto Piotra w kajdany, a cała społeczność katolicka gorzko płacze.

Władza świecka papieża ogranicza się już teraz tylko do rządów w Watykanie, gdzie Ojciec Święty będzie przebywał w otoczeniu swych 20 majordomów, 140 prałatów domu pontyfikalnego, 170 szambelanów przybocznych, 30 oficerów straży honorowej, 200 szambelanów honorowych w fioletach, 15 oficerów straży szwajcarskiej, 7 spowiedników osobistych.

Papież opłakuje swój nieszczęsny los, redaguje protesty za protestami, ciska gromy przeciw demokracji, lecz wszystko na próżno.

„Czym są rządy niektórych państw? Są jak piramida, u szczytu której znajduje się ktoś, kto jest uzależniony od rady, ta zaś zależy od zgromadzenia, które nie ma własnego zdania, podlega bowiem woli tysięcy demonów, przez których zostało wybrane. Wszyscy pozatem są niewolnikami grzechu, a za nimi stąpa archanioł z mieczem ognistym w dłoni".

To nie wszystko. W tym samym czasie spadnie kara na drugiego winowajcę. W czerwcu 1870 r. wysuwa się kandydaturę jednego z Hohenzollernów na tron Hiszpanii. Opinia francuska jest głęboko poruszona podobnym zuchwalstwem. Cesarzowa Eugenia, która tak łatwo zapomniała o swej przyjaciółce Karolinie, robi gwałtowne wymówki generałowi Frossart i protestuje przeciw machinacjom Bismarcka. Jednakże tego już za wiele; Francja jest zbyt szczęśliwa: to najpiękniejszy kraj w świecie, rządzony przez najpotężniejszego władcę. Kredytu jej nic nie byłoby w stanie podważyć; wszyscy suwereni Europy zjeżdżali jeszcze niedawno do Paryża, by zyskać sobie łaski Napoleona III. Dynastia Bonapartych stoi na mocnych podstawach, nic nie może jej zniszczyć, lecz gdy wskaże na nią palec przeznaczenia, sama sobie wymierzy sprawiedliwość.

Prasa nawołuje do wojny; o zmierzchu przeciągają przez ulice Paryża pochody z okrzykiem „Na Berlin", grupy studentów skandują rytmiczne wołanie o przesunięcie granicy francuskiej za Ren. Zwycięstwo jest pewne, wszak armia francuska pod wielu względami przewyższa armię pruską; Niemcy zostaną rozpłatane na dwoje jak gruszka i generałowie potężnej armii zdobędą chwałę w zwycięstwach za Renem. Trzeba ugruntować obecny reżim i trzeba zapewnić koronę następcy tronu Ludwikowi Napoleonowi.

Cesarzowa Eugenia przebywa z synem w St. Cloud. Wojna przeciw Prusom została już wypowiedziana. Podmuch szaleństwa dmie w wielkich salach pałacowych. Następca tronu jest szczęśliwy i dumny. Oddziały wojsk francuskich jadą w długich pociągach towarowych ku nieznanym przeznaczeniom. Ludwik Napoleon w mundurze porucznika krąży po alejach parku wśród żywo dyskutujących, zaniepokojonych ministrów.

Siwe koniki cesarzowej ciągną mały powozik, w którym Eugenia cała w białych jedwabiach i koronkach, odprowadza męża i syna. Na małej ocienionej stacyjce oczekuje cesarski pociąg. Napoleon III odjeżdża ku zwycięstwu.

Mijają dni. Cesarz przebywa w Metz i już wkrótce zdaje sobie sprawę iż został wprowadzony w błąd. Pierwsza bitwa pod Wissemburg przynosi klęskę 6 sierpnia; po kilkakrotnych szarżach kawalerii Francuzi zostają pobici w Reichshoffen. Następują straszliwe walki w Borny, Rezonville i Forbach! Armia francuska cofa się; Bazaine, zdrajca Bazaine, który powrócił z Meksyku, jest osaczony w Metz.

Klęska za klęską. Cesarzowa Eugenia gorzko opłakuje niepomyślne wiadomości. Cesarz kieruje się w odwrocie na Sedan. Przeżywa straszne cierpienia i jest tak przeraźliwie blady, iż musi szminkować twarz, by nie straszyć swym wyglądem. Pocóż ci szaleńcy pchnęli go do wojny? Co się stanie z koroną Ludwika, tego biednego chłopca? Jakże odległa jest już ta chwila, o której Napoleon III. depeszował przed kilku dniami zaledwie do swej małżonki: „Ludwik przebył chrzest ogniowy, zachwycając wszystkich swoją odwagą. Staliśmy w pierwszych liniach; kule i pociski armatnie padały u naszych stóp. Ludwik zachował kulę, która padła obok niego. Kilku żołnierzy płakało na widok jego męstwa i spokoju".

Niestety! Wszystko wali się w gruzy! Mac-Mahon zwyciężony. Frossard pobity, pułkownik de Gallifet zmuszony do ucieczki. Cesarz wraz z synem opuszczają w popłochu Metz, zatrzymują się w Gravelotte i wkrótce muszą się cofać w rozsypce od miasteczka do miasteczka. W Rethel Napoleon III musi rozstać się z synem w chwili straszliwej paniki. Następuje Sedan, początek końca. Od czasu do czasu cesarz sprawdza ochronę mostu na Mozie. Gwiazda jego blednie z każdą chwilą. Ranny Mac Mahon wycofuje się z pola bitwy. Napoleon III nie jest już głównodowodzącym, Napoleon III nie jest już Napoleonem III. Całe dnie spędza na koniu, lecz w nocy, gdy chory i wyczerpany poddaje się zabiegom swego przybocznego lekarza, płacze. Żuawi szydzą głośno na widok jego widmowej postaci. Bazaine, który zgubił Maksymiliana, zgubi również i cesarstwo Napoleona III. Upadek Metzu zmusza Napoleona do kapitulacji. Cesarz Francuzów, bardziej blady i cierpiący niż zwykle, chyli czoło przed generałem Moltke i kanclerzem Bismarckiem. Z tą chwilą jest więźniem niemieckiego sztabu głównego i zostaje wysłany do pałacu w Donchery. Pułki pruskie maszerują tryumfalnie przy dźwiękach piszczałek, głos których potęguje rozpacz cesarza.

Wszystko już skończone. Cesarstwo chwieje się. Thiers nadaremnie usiłuje zdobyć sprzymierzeńców dla ocalenia Francji. Głos ma teraz Gambetta. Gdy cesarzowa Eugenia, przebywająca w Tuilleries dowiaduje się o kapitulacji cesarza, nie chce w pierwszej chwili uwierzyć w straszną wiadomość, krzycząc iż to niemożliwe. Cesarz nie może się poddać, cesarz nie może abdykować. Napoleon powinien walczyć do ostatka, ale nigdy nie kapitulować. Jeśli się poddał, jest nędznikiem. Powinien był umrzeć na polu bitwy, by ocalić koronę swego syna! Powinien był raczej dać się rozstrzelać, tak jak Maksymilian! Ach tak, Maksymilian! Ten przynajmniej potrafił zachować swą wielkość i wolał zginąć niż uznać się za pokonanego.

Cesarzowa płacze nad hańbą Napoleona. Płacze nad swym upadkiem i myśli o Karolinie.

Uwięziony cesarz został przeniesiony do lodowatego pałacu w Wilhemshoehe, gdzie swego czasu zamieszkiwał król Westfalii, Hieronim. Cóż za szyderstwo losu rzuciło tu Napoleona III, cóż za szyderstwo stawia mu przed oczami portret królowej Hortensji, zawieszony w jednej z sal pałacu!

Wespół z cesarzem przebywają wzięci wraz z nim do niewoli generałowie. Bazaine, zdrajca Bazaine, który dał się nikczemnie zwyciężyć, przyłączy się wkrótce do swego pokonanego protektora. 30 października przybywa do męża, pod ochroną pruskich bagnetów, cesarzowa Eugenia, by razem z nim opłakiwać upadek potęgi.

Jakaż straszliwa klęska! Jakiż okrutny los! Eugenia opowiada o ucieczce syna poprzez wzburzoną Francję, o przybyciu wyczerpanego księcia do Maubege, gdzie przed hotelem zebrał się gniewny tłum, gwiżdżąc i krzycząc złowrogo. Przegrana wojna to utrata cesarstwa! Nawet przyboczna gwardia uległa ogólnemu nastrojowi i w milczeniu znosiła szyderstwa tłuszczy. A potem haniebna ucieczka ku granicy belgijskiej! Następca tronu musi się kryć, boi się, drży; oddycha swobodnie dopiero po przejściu granicy, za którą zatrzymuje się w Mons w hotelu Pod Koroną.

Cesarzowa patrzy z rozpaczą na swego męża i milknie, widząc go tak postarzałym, zniszczonym, zgnębionym. W głębi niej odzywa się echo krzyków pijanych band, które w chwili jej wyjazdu gromadziły na ulicach Paryża, wyjąc: „Precz z cesarstwem!" Tak? Teraz już wszystko skończone. Eugenia milknie w poczuciu odpowiedzialności za

Ciąg dalszy na str. 833.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

„POSZEPTY JESIENNE"

Różowieją nam świty
daleko —
odpływa późny wieczór
purpurową rzeką...
— — daleko —
Lato gaśnie cichutko,
uśmiecha się niebem,
brak mi czegoś —
brak mi ciebie
... jesieni najpierwsza!
Przywołuję cię wiatrem,
śpiewem — białym wierszem...
nucą mi o tobie wieczory
łąką szklistych świerszczy...
Dojrzewa w nas słonecznie,
wrzosem leśnym... wrzesień!...
nad nami — gaśnie lato,
błękitnieje — jesień...
Szczyciłeś się zielenią
przez twe życie młode...
spojrzyj — prawdą w twą jesień —
gasnącym zachodem —
— ach, ktoś smutkiem niebacznie
liście z drzew postrącał...
że zabrakło po prostu
przestrzeni i słońca...
— że kwiaty się roztaczyły
kolorową gamą...
zbyt późno nieraz wiemy,
co w życiu kochamy... —

Józef Baranowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

ZACIEŚNI SIĘ SERDECZNY KONTAKT

„Szatynka z Podlasia". Nie wątpię w to, iż otrzyma Pani liścik (ba, nie jeden, a wiele!) od członków naszej miłej „Rodzinki", a także wierzę, że rzeczywiście nastąpi zacieśnienie serdecznego kontaktu między nami obiema!

W kwestii Pani znajomej z Lublina nie będziemy już mówiły, bo to już wyjaśnione — prawda? Wie Pani już również, że są dwie Zofie, jedna z „Krainy", a druga z „My kobiety między nami". Tak myślę, że nie będzie to Pani przeszkadzało i w dalszym ciągu zechcesz dzielić się z nami swymi myślami i obdarzać nas będziesz sympatią.

Owszem, kolor moich włosów jest zgodny z Pani określeniem, ale zaznaczam, że nie ma nic, ale to absolutnie nic wspólnego z przepyszną „szopą" włosów Oli Obarskiej. Ta ostatnia zaimponowała mi właśnie tym, że uzyskała engagement do Opery Warszawskiej, w której będzie grała czołowe role operetkowe. Na początek, to znaczy na otwarcie sezonu idzie operetka p. t. „Książę Sziwazu". Pani, jako jej dobra znajoma, wie już zapewne o tym.

Jeżeli chodzi o problemy wojny hiszpańskiej, to podzielam całkowicie zdanie Pani. Zastanawiam się tylko nad tym, jak się to stało, że nie wiem nic o działalności Pani, która musiała wszak być ogromnie wydatną, skoro skłoniła generała Franco do przesłania podziękowania listownego wraz z fotografią własnoręcznie dedykowaną. Może będzie Pani uprzejma zorientować mnie bliżej w tej sprawie — bardzo byłabym zadowolona!

I równie zadowolona byłabym, gdyby projekt Pani przyjazdu do Żnina już szybko dał się zrealizować.

„Krainiakom" komunikuję z przyjemnością, że nowa nasza Sympatyczka dziękuje im za przyjęcie do „Rodzinki", przesyła miłe pozdrowienia oraz wyraża nadzieję, że otrzyma liścik od jakiejś miłej „Krainianki".

Pełne uznanie pragnie ponadto wyrazić p. J. Baranowskiemu za przepiękne jego wiersze i serdeczności przesyła „Dziewczynce z zaklętego młyna".

ROZUMIEM I CHĘTNIE POMOGĘ!

„Nieszczęśliwa Niniusia". Rozumiem, Dziecino, Twój smutek, wynikający z trudności, w jakich się znalazłaś po śmierci Ojca. Ale nie trać proszę nadziei na poprawę swego losu. Jestem prawie pewna, że gdy tylko ukończysz ten projektowany kurs gotowania, to z łatwością otrzymasz jakieś możliwe zajęcie. A na razie nie widzę powodu apelowania o posadę, przecież i tak nie objęłabyś jej przed lutym, to znaczy przed datą ukończenia kursu.

W każdym razie nadmieniam Ci, że skłonna jestem poprosić „Krainiaków" o zainteresowanie się Twoją sprawą z chwilą, w której mi doniesiesz, iż musisz wyjść z domu. Tak jak rzecz stoi obecnie, nie jest to jeszcze pilne.

Oczekuję dalszych — dałby Bóg! — dobrych wiadomości od Ciebie i przechodzę do komunikatów:

„Pell". Czy mogę przesłać Panu pozdrowienia? — Jeśli tak, to czynię to niniejszym.

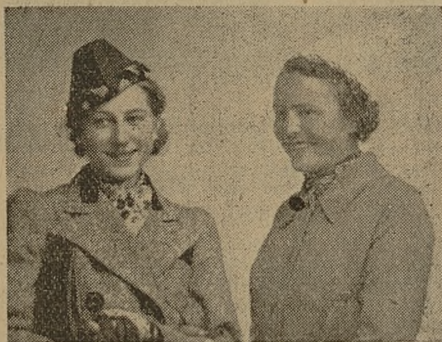
„Smutna Ślązaczka". Przypadkowo widziałam Twoją podobiznę — jakaś Ty piękna!

„Taddy". Jeżeli jesteś mieszkańcem Warszawy, to może zechcesz uprzejmie być mi przewodnikiem po tym mieście, gdy będę tam w grudniu? Odpowiedz — dobrze?

Proszę Was, Drodzy Sympatycy, abyście zechcieli listami wnieść w moje smutne życie trochę uśmiechu i radości.

A może napisze ktoś z okolic Kielc, Zawiercia, Olkusza? Na pewno odpowiem!

Serdecznie pozdrawiam wszystkich!"



„Bella Donna" i „Rozśpiewana Izabella" wybrały się z wycieczką do Gdyni, skąd przesyłają nam, jak to łatwo stwierdzić, wdzięczne uśmiechy pozdrowień

OGRÓD JESIENI

W trwożliwej słocie złotorude słaniają się cienie,
w mój ogród weszły, wypełzłe jesienie.
Krótkie dni smętniejszą tchną ciszą —
liście schorzałe i zżółkłe w konarach wiszą.

Zieleń zanikła — pleśń w otwartych kaplicach;
próchna pogniłych liści po rowach, ulicach.
Wokół szkieletów drzewa, jak widma sterczą
Bezruch patrzy z nich twarzą półszyderczą.

Posmutniał ogród, jak sfinks, zwietrzały i szary,
w obłokach śniegów gromadzą się ciężary;
na bitych drogach warczy tentent jarmarcznych
wozów —
oniemiał ogród w oczekiwaniu mrozów...

Płomienny wzrok upiornej jesieni przebija serce,
stroskany bezsennością wyjrzeć nie śmiem poza
próg świata.
Pierzchnie ogród jesieni, dążąc w ciepłych krajów kobierce,
tak, mnie życia ogród — jak wszystko — co
ginie i odlata.

Zbigniew Wicherek.

ZDJĘCIA MUSZĄ BYĆ ARTYSTYCZNE

„Dziteczka". Ależ naturalnie, że zdjęcia Twoje zostaną mile przyjęte, nawet z góry zapewniam Cię, że chętnie wykorzystam i zdjęcia rodzajowe, jeżeli tylko będą dobrze wykonane! Powiedzieć Ci mogę, że nieraz mam trudności z dobieraniem ilustracyj do wierszyków na 5 str. „Moich Powieści" i wdzięczna byłabym Ci, gdybyś mi dostarczyła kilka odpowiednich zdjęć. A nie tylko Tobie, bo tym wszystkim „Krainiankom", które mają aparaty i umieją wykonywać zdjęcia artystyczne. Rzecz jasna, że w rachubę mogą być brane tylko rzetelnie artystyczne prace.

Co do Twego ewentualnego kupowania w drodze pojedyńczych numerów „Moich Pow.", to chciałam zaznaczyć, że nie będzie to może tak łatwe. Owszem, na każdej poczcie możesz poprosić o sprzedaż pojedyńczego numeru, lecz w kioskach „Ruchu" tylko w miastach, jak Poznań, Wągrowiec, Krotoszyn, Toruń Miasto, Chełmża, Chojnice, Tuchola i Czersk.

Źle mnie sobie wyobrażasz, Dziecino, co zresztą sama stwierdzisz podczas wizyty, którą złożysz w redakcji — obiecałaś przecież zatrzymać się w przyjeździe i odwiedzić mnie i Wujka Janusza. Czekam więc!

„Marycha" — proszę daj ogłoszenie w Grudziądzu, tu jest bardzo dużo posad na jaką reflektujesz — życzę szczęścia! Napisz do mnie!

„Szukający Podchorąży" — pozdrawiam P. Może Pan napisze, jak było na zjeździe?!

„Zefir Zachodu" — „ktoś" z Grudziądza pozdrawiam pana przyjacielskim uściskiem dłoni!"

CIESZY MNIE!

„Szukający Podchorąży". Wiadomość o tym, że tak gładko zdał Pan egzamina, ucieszyła mnie ogromnie. Lubię i uznaję w ludziach pracę, gruntowną, solidną pracę!

Jeszcze jedno mnie cieszy, mianowicie to, że taką wielką satysfakcję sprawił Ci Twój niespodziewany (dla nas) udział w zjeździe.

Wszystkim wiadomym Ci osobom przekazałam pozdrowienia i słowa przyjaźni.

Jeżeli chodzi o sprawę administracyjną, to informuję Cię uprzejmie, że inaczej nie da się to załatwić, jak tylko przez uprzejmość któregoś z członków „Krainy". Nasze pisma są wysyłane tylko na adresy.

To byłoby na razie wszystko! Życzę Ci dalszych pomyślnych egzaminów i przechodzę do zamieszczenia Twego apelu:

„Ślicznie dziękuję całej „Krainie" za życzliwe przyjęcie i serdeczne zainteresowanie się mną! W liścikach proszę o podawanie swych adresów, bo nie chcę obciążać Pani Zofii przeadresowaniem. Proszę życzliwą duszę z „Krainy", mieszkającą w W-wie, o pozwolenie adresowania „Moich Powieści" na Jej imię — proszę o bezzwłoczną wiadomość!

Pozdrawiam wszystkich serdecznie i proszę o liściki!"

BĄDŹ ZNOWU CZŁONKIEM AKTYWNYM!

„Hord". Dlaczego prosisz o powtórne przyjęcie do „Krainy", wszak Cię z niej nie wykluczyłam i niczym się jej nie sprzeniewierzyłeś, a fakt, iż przez dłuższy okres milczałeś nie jest znowu czymś specjalnie przykro Cię obciążającym. Pisz sobie znowu spokojnie do nas i bądź nadal miłym naszym członkiem z kategorii tych najaktywniejszych.

Nadesłany wierszyk dałam Wujkowi Januszowi do teczki.

Komunikaty zamieszczam, a Tobie ślę sympatyczny uśmiech!

„Zefi". Droga Przyjaciółko, gdzie jesteś? Serdecznie pozdrawiam!

„Lawrence" — nie gniewaj się, nie mogłem pisać! Napisz — odpowiem, wytłumaczę!

Serdeczne pozdrowienia dla całej „Krainy"!

NIE GODZĘ SIĘ!

„Romantyczny Śpiewak". Podaję Ci uprzejmie do wiadomości, że nie godzę się na zmianę Twego pseudonimu. Jeżeli ta moja decyzja będzie Ci zbyt niewygodna, to nie wiem, jak postąpisz — odwołania od niej w każdym razie nie ma!

Apel Twój zamieszczę wówczas, gdy mi wyrazisz swą zgodę na podtrzymanie dawnego pseudonimu. Komunikaty natomiast przedrukowuję.

Ponadto jestem zwiastunem przykrej wiadomości, mianowicie chcę Ci powiedzieć, że „Stella Maris" nie żyje. Aż dziw, że nie wyczytałeś tego w „Krainie"!...

Pozdrawiam Cię i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Pozdrowienia dla całej „Krainy", a osobne dla „Rozśpiewanej Izabelli", „Białej Uajali", którą proszę o adres, gdyż poprzedni mi zaginął, p. A. Mazanego z Gąsawy, — może i Pan napisze do „Krainy"? Czekam oraz ślę moc pozdrowień wszystkim Sympatyczkom!"

KIM JESTEŚMY I GDZIE MIESZKAMY

„Szatynka z Gdańska 18" i „Wirtuozka". Od lat najdawniejszych, bo nieledwie, że od urodzenia, mieszkamy w Gdańsku. (sam fakt urodzenia miał miejsce gdzieindziej.) Teraz już mamy obie po 18 lat.

Gdańsk, to ładne miasto, bardzo dużo jest w nim pamiątek polskich, które są tu dumą każdego Polaka. Niemniej nam Polakom jest tu nieszczególnie, zwłaszcza, gdy słyszy się wokoło, że my nie mamy nic do szukania w Gdańsku, w tym niby rdzennie niemieckim mieście. Często też z tego powodu dochodzi do bardzo ostrych starć między nami, t. j. Polakami a Niemcami. Każda z nas pracuje dla tutejszej „Polonii". My obie pracujemy w harcerstwie gdańskim, i uczymy młodsze harcerki, jak należy kochać i bronić swego rodzinnego miasta przed Niemcami. Uczymy je prawdy, że Gdańsk rdzennie polskim był, jest i będzie. Co do nas, to obie ukończyłyśmy W. S. H. w Gdańsku. Obecnie jednak od kilku tygodni jesteśmy w Tczewie, gdzie zatrzymują nas sprawy prywatne. Tyle mamy „cech" wspólnych, lecz musimy się jeszcze przedstawić każda z osobna:

Więc pierwsza, to ja, „Szatynka z Gdańska 18". Jestem średniego wzrostu szatynką o wielkich błękitnych oczach. Z usposobienia jestem bardzo wesoła. Szalenie lubię się uczyć, toteż po ukończeniu praktyki (z powodu, której mieszkamy w Tczewie) mam zamiar wstąpić na W. S. H. w Poznaniu. Prócz nauki, bardzo lubię podróżować. Z wycieczek szkolnych i obozów harcerskich znam prawie, że całą Polskę. Bardzo też lubię taniec, muzykę, teatr (zwłaszcza opery) no i sport. To ostatnie po prostu uwielbiam. Biorę udział we wszystkich imprezach, organizowanych przez władze sportowe, a często też wyjeżdżamy na zawody międzyszkolne do Gdyni, Tczewa, Kartuz, Wejherowa itd. Gdybym chciała pisać o tym, co lubię, uwielbiam — to zapisałabym tyle papieru, że znudziłabym Ciocię Zofię i Was wszystkich, dlatego oddaję głos mej siostrze.

Tu „Wirtuozka"! Jestem średniego wzrostu blondynką. Usposobieniem odpowiadam „Szatynce z Gdańska". Szalenie lubię muzykę, dlatego też jestem w rozterce, czy pójść na W. S. H. do Poznania, czy wybrać konserwatorium muzyczne. Wolę jednak muzykę i dlatego w tym kierunku zapewne będę się kształciła a nuż spełni się moje największe marzenie i zostanę w przyszłości sławną artystką!... Tyle o nas!

Na zakończenie podajemy nasze komunikaty. Pragniemy bowiem korespondować z kimś b. miłym i bliskim, posiadającym dużo humoru.

Halo „Amerykaninie"! Musisz być bardzo miły. Świetnie i bardzo dowcipnie scharakteryzowałeś się, zwłaszcza Twoje „Foto-oblicze" (określenie to podoba mi się) oraz zaimponowałeś mi swoim humorem i wesołością. Bardzo zazdroszczę Ci, że znasz taki „kawał" świata, bo aż Amerykę! Może coś do mnie napiszesz? Myślę, że wspólne tematy znajdziemy. Adres mój: Marida Skrzyńska, Poste - Restante, Tczew I.

„Harcerko"! Napisz i Ty coś do mnie. Myślę, że i my będziemy miały dużo interesujących tematów, np. związanych z harcerstwem. Na razie pozdrawiam Cię harcerskim „Czuwaj"!

„Wład". I ja mam w planie W. S. H. w Poznaniu. Może coś „skrobniesz" do mnie? Chciałabym mieć jakiegoś przyjaciela w Poznaniu, gdyż tam będę nieco osamotniona.

„Wirtuozka" prosi, aby i do niej ktoś „skrobnął". Zainteresował ją „Pell".

Halo „Pell" zachwycam się Twoją „fotką", umieszczoną w „Moich Powieściach" i zarazem zaciekawiarz mnie ogromnie. Czy zgadzasz się ze mną korespondować? Jeżeli tak, to napisz pierwszy. Czekam na odpowiedź!

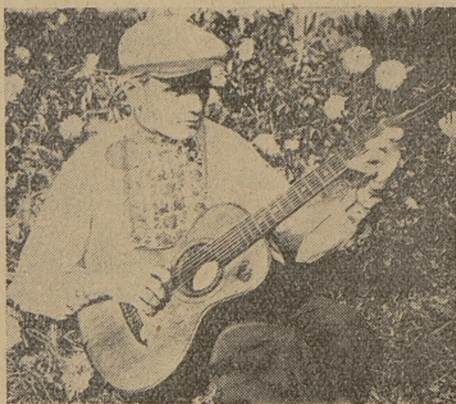
„Ira" czy chciałabyś ze mną korespondować? Może i ja posiadam trochę humoru, nie chcę się chwalić, jestem pod tym względem bardzo skromna.

„Kazik". Zainteresowałeś mnie także, skrobnij do mnie, a odpowiedź murowana. Adres mój: Dziunia A. Kańska, Tczew I. Poste - Restante.

Kończąc, przesyłamy furę całusów dla Cioci Zofii, a serdeczne pozdrowienia Sz. „Krainiankom i Krainiakom".

Jeszcze raz wyrażamy obawę, czy Szan. „Krainka" przyjmie nas do swego grona i czy czasem za dużo nie nagryzmoliłyśmy. W oczekiwaniu jakiejkolwiek przychylnej odpowiedzi, pozostajemy obie!"

Obawa Wasza okazała się płonna — przyjęliśmy Was do swego grona, a reszta zależy od Was!



W ciche, nastrojowe wieczory, ubrany w bogato haftowaną bluzę wołyńską, zasiada wśród kwiatów i nuci smętne dumki-śpiewanki wołyńskie przy akompaniamencie swej ulubionej gitary Kto? Nasz przyjaciel „Wołyniak".

KIEDY CISZA JEST DOKOŁA...

Kiedy cisza jest dokoła,
wielka cisza w krąg —
głos mię wtedy jakiś woła,
co idzie z tych łąk.

* * *

Kiedy wszystko drzemie w ciszy
i ludzie śpią w krąg —
tego głosu nikt nie słyszy,
co płynie z tych łąk.

* * *

Głosu tego, tajemnego,
co w powietrzu drży...,
i do serca wnika mego
z ócz wyciska łzy...

* * *

Chociaż cichy, ale mocny
i dźwięczny to głos,
który pośród głuszy nocnej
do mnie płynie z ros...

* * *

Lśni na niebie gwiazda drżąca
na przeczystym tle...
Głos o struny duszy trąca
i nastraja je.

* * *

Zapominam, czym jest życie,
co cierpienie, ból...
i głos łowię ten w zachwycie,
co idzie z tych pól.

Eleonora Klidzia.

PROSZĘ O ADRESY

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są p. p.: „Krzysia — leśniczanka", „Blondyn spod Grudziądza", „Wit z Poznania", „Podchorąży z Grudziądza", „Nieznany Cygan", „Efzet", „Zadumana Renata", „Wicha", „Educh", „Lolek 3 i Bolek 4", „Starsza smutna Ela", „Feli".

LEĆ BIAŁY ORLE!

Jednej z moich najmilszych korespondentek, p. Marcie Primusównie („Marzence" z Ameryki), oraz wszystkim Rodakom zza oceanu.
Autor.

Leć Biały Orle, hen, przez lądy szare,
Wzbij się wysoko ponad gór szczytami,
Mijaj wytrwale wsie, miasta prastare,
Potrzymuj kontakt z mymi Rodakami!
Leć ponad morzem, ponad oceanem,
Nie żałuj skrzydeł w tej „szalonej" pracy,
Nie drżyj, gdy fale mkną rozkołysane...
Czci Cię od wieków Naród nasz, Polacy!
Tym, co przez długie lata na obczyźnie
Tęsknią i pragną „spocząć" między swymi
I tym, co stale marzą o Ojczyźnie —
Nieś radość — dość już smutku między nimi...
Głoś im o naszej sile, rycerskości
I o potędze, co wrogów „uśmierca"
I o najtrwalszej, braterskiej miłości,
Która wciąż dla nich gości w naszych sercach!...
Mieczysław Grzegorski

PRECZ Z NIEZADOWOLENIEM I NUDĄ!

„Marzące Oczy". Nie przejmuj się, proszę, swym wiekiem, 22 lata, to sama młodość, to życie! Życie w swej najbujniejszej, najheroiczniejszej strefie!

I dlatego też nie wolno Ci smucić się, sumować i nudzić! Cóż z tego, że mieszkasz na wsi mimo, że wsi w ogóle nie lubisz?! Czy dlatego masz zaraz tracić dobry humor i młodzieńczą werwę? Człowiek inteligentny i wartościowy wszędzie znajdzie pole do działania i szerokiego, prężnego życia — nigdy nie godzi się na wegetację, lecz żyje pełną piersią.

A jesteś inteligentna, jak zdążyłam to zauważyć, i dlatego musisz zdobyć się na wysiłek pokonania tej niemądrej i niczym, prócz lenistwa, nieumotywowanej nudy. Sposobów na to jest dużo. Więc lektura, nauka, sporty, robótki i praca. Praca zwykła, codzienna — w domu i ogrodzie, w polu lub warzywniku, a także w podwórzu. Nie krzyw się, nie podnoś ze zdziwieniem i zgorszeniem brwi — kobieta nowoczesna nie boi się pracy żadnej i wie, że ręce zbrudzone może łatwo oczyścić, natrzeć wieczorem kremem i niczym nie zdradzić „jutro", iż „wczoraj" jej piękne białe i miękkie rączki zbierały lepkie owoce do suszenia i zaprawi, obierały ziemniaki lub szorowały rondle w kuchni.

Za to te ręce będą silne i pewne w dotyku, harmonijne i pogodne, bo nic tak nie brudzi rąk i tak ich nie zmiękczą, ślimakowatą bezradnością, tak nie szpeci i psuje — jak stała bezczynność i lenistwo.

Dlaczego mówię tyle o rękach? O, mam w tym cel — chodzi mi mianowicie o Ciebie, wiem, że masz piękne oczy, a chciałabym, abyś miała także piękne rączki. Zaś kiedy i jakie rączki uważam za piękne — już wiesz! Więc gdy zechcesz sprawić mi w przyszłości przyjemność powiesz mi, że masz piękne ręce, a ja wówczas z uśmiechem stwierdzę, że przestała gnębić Cię hydra najstraszniejsza w życiu ludzi — nuda. Nuda i smutki giną tam, gdzie na forum wjeżdża na potężnym rydwanie zbożna praca!

Napisz, czy pozwalasz na reprodukcję nadesłanego zdjęcia.

Halo! „Szara Fala" Czy chciałabyś ze mną korespondować? Sprawiłabyś mi tym wielką przyjemność.

„Samotna Włościanka"! Napisz coś, do mnie jesteśmy jak dwie siostry — ja też jestem samotną włościanką.

Halo! Bydgoszcz. Może, która z Sympatyczek Sympatyków z tego miasta, napisze do mnie? Przebywam tam dość często, a nie mam znajomych.

Pozdrawiam. „Podchorążego z Grudziądza", „Duchu Puszczy"! Czy Twój pseudonim ma wszystkich mocno proszę o przesłanie mi chociaż pozdrowienia.

JAKI PSEUDONIM?...

„Amorek". Przyjęłam Cię do „Rodzinki" pod pseudonimem „Amorek". Musisz być ładna, skoro znajomi stwierdzają, że masz rysy i profil greczynki. Jakby jednakże nie było, wygląd zewnętrzny nie powinien wpływać na Twoje ustosunkowanie się do ludzi.

Bywaj mi na razie!

Komunikaty:

„Duchu Puszczy"! Czy Twój pseudonim ma wyrazić Twoje marzenia o życiu leśnym, czy

jest obrany bez głębszej myśli? Napisz coś o sobie i przyjmij serdeczny uścisk dłoni.

Polubiłam „Freda", „Czarnego Hajduczka" i „Chłopczyka w mundurku" — napiszcie!

NIE MINĄŁ BEZ ECHA!

„*Mała Gwiazdeczka*". Mam w tej chwili w ręce ten list, o który się upominałaś, że to niby pomijam go milczeniem. A otóż dowód, że nie minie on bez echa.

To dobrze, że jesteś tak niesłychanie pogodna i radosna — długo, długo staraj się pozostać taką!

Nie odpowiedziałaś mi jeszcze, czy godzisz się na zamieszczenie swej podobizny w „Krainie".

Twoja siostra została też przyjęta do naszego grona.

Czekam na nową wiadomość! Pisz dużo! Aha! Zdjęcia wakacyjne, jeżeli będą ładne, chętnie wykorzystam!

„Kochana „Krainko", czuję się doskonale w Waszym miłym „gronie". Nie znam wprawdzie na razie nikogo ale mam nadzieję, że to poznam niedługo. Tymczasem pozdrawiam Was wszystkich szczerze i serdecznie i proszę o miłe liściki. Kto pierwszy napisze — otrzyma fotkę! Murowane!

GDZIE JESTEŚ?

„*Słoneczna Jasieńka*". Bardzo chcę wiedzieć, gdzie teraz przebywasz i jak się czujesz? I jedną daję Ci radę, mianowicie, abyś ostrożną była w odniesieniu do różnych swoich znajomych.

Zdjęcie Japonki bardzo dobre, tak dobre, że nie wydaje mi się możliwe, aby mogło być Twoje własne, tym bardziej, że takie same często bywają dołączane do opakowania czekolad Sucharda i Wedla. Zwrócę Ci je, gdy mi przyślesz swój nowy adres. Życzę Ci powodzenia w pracy i zamieszczam komunikaty:

„Żymełko"! Dlaczego nie odpowiadasz na moją pocztówkę? Czyżbyś jej nie otrzymała?!

Miłe pozdrowienia zasyłam „Zuch-dziewczynie", „Carmen", „Czarnemu Hajduczkowi", Czytelniczce spod Grudziądza, „Samotnej Włościance", „Skowronkowi" i „Czarnulce ze Świecia."

NIE WIEM...

„*Alpejski Fiołek*". Och, Dziecko, dawno już zapomniałam o wakacjach i marzę już znowu o przyszłorocznych.

Nie wiem, czy załatwiłaś już sprawę prenumeraty Twej Kuzynki — w naszej administracji poinformowano mnie, że wysyła się „Moje Powieści" na nazwisko Miranii Roszkiewicz, ul. Saperska 12. Czy tak brzmi nazwisko tej Pani?

Mam Ci mówić czasem po imieniu? Ależ owszem, Droga Irko, z przyjemnością będę to czyniła.

Życzę Ci dużo pogody i uśmiechu i przedrukowuję komunikaty:

„Ludwiko B." Jeśli jesteś z Ostrowa, to napisz proszę kilka słów! „Skromny Fiołku" posyłam Ci moje uśmiechy! Pani A. M. posyłam pozdrowienie, które będzie przypomnieniem, że zbliża się rocznica naszego poznania. „Bławatku spod Ostrowa" — czemu nie dajesz żadnej odpowiedzi na mój apel? „Rudi"! Jak z fotkami, czy już inaczej myślisz — ściskam dłoń i pa! „Biała Uajali" — cudny jest ten Twój wierszyk, — I pozostańmy nieznani samotni. Janko Kucharczak, wybierz wreszcie jakieś pseudo i skrobnij do „Krainy". Panie Tadeuszu R z O. — ponawiam mą prośbę w „Krainie". A jeśli teraz nie można, to może w przyszłości. Czy dobrze? „Kalino", co znaczą te rozpaczliwe słowa w Twym wierszu? Czy naprawdę masz w sobie tyle goryczy? Pisz często do Pani Zofii i nawiąż korespondencję z kimś interesującym w „Krainie", a będziesz zadowolona. Mam Ci dużo do napisania, lecz skrobnij pierwsza i podaj mi swój adres! Zgoda? „Krakowiaku z Leszna"! Bardzo się cieszę, iż chciałeś mi poświęcić swój utwór. Wiersz „Bezsenne Noce" bardzo mi się podobał, wpisałam go sobie do mego własnego pamiętnika. Proszę pamiętać o mnie w przyszłości! Mirko z Poz., co mogłam to załatwiłam. Resztę w liście. Do widzenia!"

OTOCZMY CIĘ SERDECZNOŚCIĄ

„*Szary Kresowiak Zachodni*". Chętnie przyjmuję Pana do naszego grona. Wierzę, że czuje się Pan samotny na posterunku swym wśród przewagi mieszkańców pochodzenia niemieckiego i nie dziwię się Twemu dążeniu do duchowego połączenia się z rdzennie polskim elementem, jaki zebrał się w naszej ogromnej „Krainie".

My ze swej strony postaramy się otoczyć Cię serdecznością i przyczynić Ci szereg drobnych przyjemności miłymi liścikami.

Posyłam Ci pierwszy życzliwy uśmiech.

NIE WIESZ!...

„*Lang-Cheng*"". Nie wiesz i nie możesz tego wiedzieć, Dziecinko, jaką radość sprawiłaś mi swym oświadczeniem, że przygasł Twój tak gnębiący pesymizm i że teraz czujesz się lepiej duchowo. Już pominąwszy to, że mnie przypisujesz tę zmianę, sam fakt jej może cieszyć wszystkich, którzy dobrze Ci życzą, a najbardziej naturalnie mnie.

Sprawuj mi się zawsze tak dobrze i pisz często!

A teraz komunikaty:

„Bajkał" Tak, Kochana, jestem zdrowa jak ryba, a apetyt mam jak wilk, strzeż się, żebym Ciebie nie zjadła, jak przyjadę. Pod sufit skakałam z uciechy, że pozwolono mi jechać. Ściskam łapki i całuję Twój kochany cyferblat!

„Smutna i Brzydka Irka" Adres na pewno znajdzie się u p. Zosi, zasyłam moc pozdrowień.

„Mary z Gdyni" Proszę pierwsza napisać, odpowiedź otrzyma Pani na pewno. Nie chcę, aby się powtórzyło to, że gdy napiszę pierwsza, nie otrzymam (obojętnie jakiej) odpowiedzi, co już miało miejsce. Pozdrawiam i ściskam serdecznie łapięta.

Pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków"!



ZDZIWIŁEM SIĘ

„*Paddy incognito*". Twoje trzy wiersze wręczyła mi p. Zofia do oceny. Zdziwiłem się, bo wierszyki mają to, co próżno szukam u moich starych rymotwórców, mianowicie oryginalne tematy, lekkość, chyżość mknących z pogodnym uśmiechem myśli i słów. Np. dwa wiersze z 1-szej zwrotki wierszyka pt. „Łódź":

Łódź nasza chyżo mknie przed siebie,
Piosenka leci w świata dal!...

Czuje się po prostu chyżość tej łodzi i słyszy dźwięczny młodzieńczy timbre piosenki.

Do druku pójdą wszystkie 3 wierszyki, naturalnie po pewnej poprawce.

Pozdrawiam Cię serdecznie i zachęcam do dalszych prób wierszowania.

W ŚWIAT

Jest ranek modro uśmiechnięty,
Spokojnie drzemie tafla morza,
Ruszają w drogę znów okręty,
A żegna je poranna zorza.

Majestatycznie, cicho, godnie
Przed siebie płyną w przeznaczenie,
By zwiedzić znowu lądy wschodnie
I ludziom zawieźć pozdrowienie.

Tak bez spoczynku świat zwiedzają,
Przywożąc wszystkim cenne dary
Z dala wzajemnie się pozdrawiają
Ich kolorowe państw sztandary.

„Paddy incognito"

NIE WSZYSTKIE!...

P. M. Grzegorski z S. Ostatni list Pana dostarczył mi odczuć i przykrych i miłych. Przyczyną miłych jest podany mi przez Ciebie fakt, iż warszawskie gazety też już zamieszczają Twoje wiersze, a także dziennik amerykański przyrzekł Ci drukować Twoje prace. Mnie to może jedynie cieszyć i dawać satysfakcję, że jeden z członków „Teczki", z żółtodziobów poetyckich wpłynął na szersze wody powodzenia.

A przykrość sprawiło mi to, że wymawiasz mi jako bym faworyzował specjalnie innych moich adeptów na niekorzyść Twoją. Nie ma ten zarzut żadnych podstaw i dlatego nie będę próbował go odpierać.

Co zaś do życzenia, abym w każdym numerze drukował Twój wierszyk, to muszę Cię objaśnić, że nie jesteś jeszcze na tyle firmowym autorem, aby to było usprawiedliwione, a ponadto nie wszystkie Twoje utwory są dobre do druku. Np. z ostatnich przeznaczyłem do druku „Rodzinne miasto", „Leć biały Orle" i „Matko, nie płacz!" Zaś wierszyk „Rozczarowanie" uznałem za słaby. Jeżeli zechcesz mogę Co go zwrócić, w przeciwnym razie pójdzie do kosza.

Wiersze, które wyliczyłeś, pójdą do druku w „Krainie", stosownie do zapotrzebowania przez p. Zofię.

Tych kilka wyjaśnień postanowiłem dać Ci na skutek Twego ostatniego listu, który, nawiasem mówiąc, trochę mnie nieprzyjemnie zaskoczył.

Posyłam Ci mocny uścisk dłoni i oczekuję nowej przesyłki wierszy!

RODZINNE MIASTO

Wciąż mi się zdaje, że, gdy los wreszcie
W świat mnie gdzieś zagna któregoś roku,
Myślą zostanę w rodzinnym mieście,
Ono ma dla mnie tyle uroku!...

Kocham to moje miasto rodzinne,
W którym tak drogie lata spędziłem,
Lata młodzieńcze, lata dziecinne,
Gdy się w żołnierzy, zbójców bawiłem...

Och, znam w nim prawie każdą uliczkę
I rzekę, Przemszę, płynącą w dole,
I hen, za miastem — starą kapliczkę,
Tam się modliłem nieraz po szkole...

Jest też przy parku ławek rząd cały,
Gdzie można cudnie spędzać wieczory,
I kolejowy kościółek mały,
W którym są zawsze piękne nieszpory...

Wszystko ma dla mnie urok, czar wieczny,
Wszystko najmilsze robi wrażenie,
A mój pokoik skromny, słoneczny,
Jest pełen szczęścia!... Bardzo go cenię!

A to podwórko długie, szerokie,
Bardzo przeciętne, a tak kochane?...
Ach, wszystko, na co rzucę swym wzrokiem,
Jest mi tak bliskie, niezapomniane!...

Wszak tum najsłodsze przeżył nastroje,
Chociaż życie było solidne, skromne,
Dlatego kocham to miasto moje
I nigdy, nigdy go nie zapomnę!

Mieczysław Grzegorski.

PÓJDĄ DO DRUKU

„*Góraleczka*" Oba nadesłane przez Panią wierszyki pójdą do druku. Proszę pisać i nadal tak oryginalnie, a będę z Pani zadowolony.

Na razie kończę, lecz nie wątpię, że jeszcze nieraz z sobą porozmawiamy!

RZEKA

Dla chwilki wspomnienia Fredowi.

Sprażone żarem słońca, cierpko pachną wikliny,
fioletową słodyczą nabrzmiewają jeżyny,
Rzeka we dnie złoci, w oczy iskrami migoce,
jaśnieje srebrzyście w miesięczne, jasne noce.
Dniem — burzy się złotliwie, pieni, woła, bełkoce,
Zamknięta w jar skalisty — bezsilna w swej niemocy,
daremnie się wyrywa — daremnie się szamoce...

Góraleczka

SERDECZNIE DZIĘKUJĘ!

Serdeczne dziękuję za miłe pozdrowienia, nadesłane mi z Łodzi przez „Zuch-dziewczynę", „Miłą Zapałeczkę" i „Bajkę".

Cieszy mnie ten widomy znak Waszej o mnie pamięci i zbliża do Was jeszcze bardziej. Drogie Dzieci! Proszę pamiętać i nadal o życzliwym Wam Wujku i przyjmijcie mój przyjacielski uścisk dłoni!

HENRYK LINDEMANN

Romantyzm żelaznego szlaku

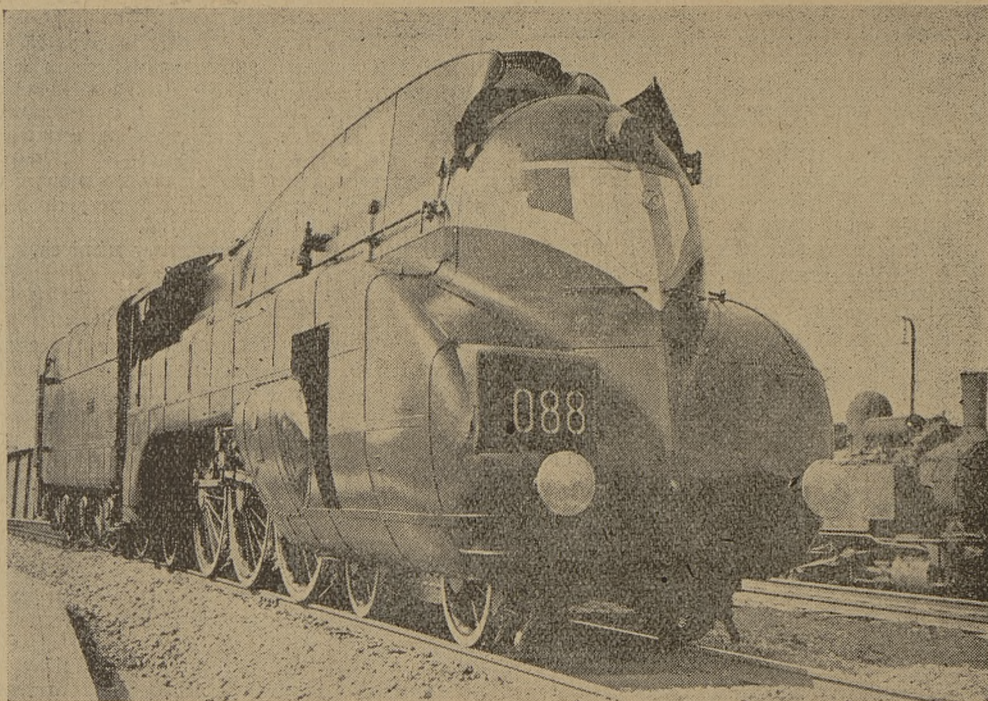
W pociągu błyskawicznym Londyn — Glasgow staje w przejściu wagonu restauracyjnego kelner i mówi głośno:

— Panowie, proszę wyjąć noże z zębów, zbliżamy się do zakrętu!

Dowcip ten jest zupełnie nierealny. Po pierwsze dlatego, że Anglicy są zbyt dobrze wychowani, by jedzenie nożem do ust wkładać, a po drugie aerodynamiczny ekspres Londyn — Glasgow jest tak zbudowany, że podróżni nie odczuwają w ogóle jakichkolwiek zakrętów i wstrząsów.

Technika kolejnictwa nowoczesnego doszła już, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, do punktu szczytowego i wydaje się, że już dalej chyba nie pójdzie. Zwiększenie szybkości i komfortu wydaje się już po prostu niemożliwe.

Ale z drugiej strony rozwój kolei żelaznej, od t. zw. wozu parowego do nowoczesnego parowozu o motorze dieslowskim i opływowych liniach, posiada w sobie całą skalę romantyzmu, jeżeli pominiemy dziedzinę suchych cyfr i terminów technicznych, interesujących tyl ko fachowców.



Nowoczesny parowóz o liniach opływowych, popędzany motorem turbinowym o sile 2000 koni mech.

Czyż nie czujemy pewnego sentymentu, gdy z pożółkłych kartek listów naszej prababki wyczytamy, o jej podróży koleją żelazną?

Wyobrażamy sobie i dworzec drewniany i także peron i grupę podróżnych w barwnych strojach biedermajerowskich, oczekujących na przyjazd wozu parowego, ciągnącego za sobą „wagony", niczym nieróżniące się od powozów, turkoczących po wyboistych „autostradach" XIX stulecia. Zajeżdża pociąg. Za kotłem parowozu, z którego sterczy w górę wysoki, smukły komin, stoją maszynista i palacz w wytwornych garniturach, z cylindrami na głowach, co było zrozumiałe przy „morderczym" tempie pociągu, które wynosiło ni mniej ni więcej, tylko 15 km na godzinę. I to maksymalnie! Przy takiej szybkości można było cylinder nosić na głowie. Zresztą parowóz nie posiadał nawet dachu, pod który schronić by się mogła obsługa.

Widocznie w owych czasach deszcz rzadziej padał, lub też w razie niepogody pociąg nie kursował. Nie zdołałem jednak tego nigdzie sprawdzić. W każdym razie coś podobnego wprowadzono w ub. roku w Holandii dla podróżnych, korzystających z pociągów popularnych. Jeżeli w dniu wyjazdu pada deszcz, podróżny ma prawo zwrócić bilet i otrzymuje zwrot opłaty za przejazd. Jednak inowacja ta nie znalazła odpowiedniego poparcia i obecnie zarząd kolei holenderskich zamierza znieść ten przepis. Widocznie Holendrzy są z racji swego położenia geograficznego przyzwyczajeni do wody i nie obawiają się deszczu.

Ogólnie mniema się, że pierwszy parowóz zbudował w r. 1814 Jerzy Stephenson. Otóż trzeba zaznaczyć, że pierwszy parowóz został zbudowany przez Hedley'a na rok przed Stephensonem, t. zn. w roku 1813.

Parowóz Stephensona obsługiwał linię kolejową dla potrzeb górniczych w Newcastle upon Tine w Anglii. Stephenson był również pierwszym, który wprowadził szyny gładkie, w przeciwieństwie do używanych poprzednio (oczywiście przy kolejce o trakcji konnej lub linowej), szyn zębatych.

W roku 1825 przejechał na odcinku Stockton - Darlington w Anglii pierwszy pociąg osobowy. Na widok buchającego dymem i wydającego niesamowite odgłosy potwora ludność wiejska uciekała daleko od toru, myśląc, że nadchodzi koniec świata, i antychryst pojawił się na ziemi.

Na ziemiach polskich, znajdujących się w tym czasie pod zaborami, pierwsza kolej pojawia się w r. 1847 na linii Kraków—Mysłowice. Całą imprezę finansowało nowozałożone Towarzystwo Kolei Krakowsko - górnośląskiej. Następne koleje budowano w zaborze austriackim w interesach ogólno państwowych. I tak powstała znana kolej wiedeńska, która prowadziła ze stolicy Austrii do złóż soli w Bochni, budowana przez Tow. Akc. „Wyłącznie uprzywilejowana droga żelazna Północna cesarza Ferdynanda".

W b. zaborze rosyjskim pierwsza kolej powstała z inicjatywy sfer prywatnych w celu podniesienia górnictwa krajowego i wykonana została w latach 1839—1848 od Warszawy do Strzemieszyc. Pierwszą linią w b. zaborze pruskim był odcinek Chebzie—Mysłowice, wybudowany przez Tow. Kolei Górnośląskich w 1845 r. wzgl. 1846 do Mysłowic, do połączenia z koleją krakowsko-górnośląską.

Pierwowzory dzisiejszych aerodynamicznych pożeraczy żelaznych gościńców miały w sobie coś romantycznego, o czym nawet poeci potrafili pisać. Dla przykładu przytoczę urywek, mniej może poetycki, ale charakterystyczny dla epoki. Otóż zapomniany już dziś prawie zupełnie humorysta polski, Teofil Stanisław Nowosielski (1812—1888) wydał w roku 1841 tom „Humoresek", w których znajdujemy następujący urywek:

KOLEJE ŻELAZNE I WOZY PAROWE

Tylko nienawiść ludzka niema granic, miłość zawsze ma swoje granice. Tylko w nienawiści może być człowiek łatwowiernym nigdy zaś w miłości. Tylko na dobre postępki bliźniego żąda człowiek dowodów i świadectw, wtedy jest człowiek sędzią surowym. Na złe postępki bliźniego nie żąda dowodów, złym pogłoskom każdy z łatwością uwierzy."

„Kiedy chodzi o czyjąś niesławę, człowiek podobny jest do znaku wykrzyknika, kiedy zaś chodzi o czyją sławę, zawsze podobny jest człowiek do znaku zapytania."

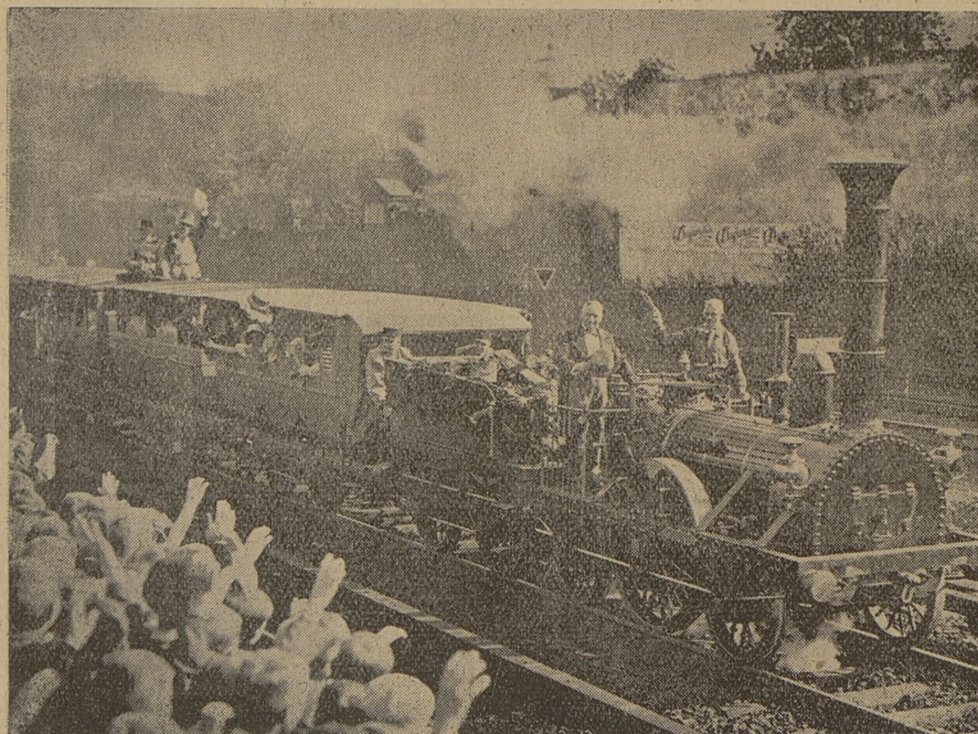
„Wpływ kolei żelaznych na uczucie niepodobna obliczyć. Miłość zna tylko jedną chorobę — rozłączenie i tylko jeden występek — nieobecność; obecność ukochanej osoby jest warunkiem przywiązania, stąd nieobecność ostudza najgorętszą miłość."

Jak tylko nastaną koleje żelazne, tak kochanka odpisze rozpaczającemu kochankowi.

„Nie susz sobie luby głowy,
Ale wsiądź na wóz parowy!"

W dalszym swym rozwoju kolej dużo straciła z romantyzmu. Zasadniczą może wadą był nieestetyczny wygląd parowozu i wagonów. Do-

(Dokończenie na str. 836.)



„Wóz parowy" sprzed stu laty.

swe błędy, które, poczynając od tragedii w Meksyku, przyczyniły się do wszystkich nieszczęść.

Gdzież są ci wszyscy bonapartyści, których widywano w Compiegne, lub w St. Cloud? Jak postąpi generał Trochu, w którym pokładano tyle zaufania? Gdzież są Pietri, Rouher, Hieronim David, Prosper Merimée, marszałkowa Canrobert? Co robią ci wszyscy oddani przyjaciele, podczas gdy Napoleon III jest uwięziony w pałacu w Wilhemshoehe, podczas gdy cesarstwo Bonapartych runęło, a cesarz rozporządza zaledwie kilku hektarami ziemi dokoła swego więzienia, na których odbywa przechadzki, rozmyślając o swym upadku?

Ileż dziwnie podobnych okoliczności, nawrotów wydarzeń, nieprzewidzianej zemsty losu niesie życie! Nieszczęsny książę Ludwik zmuszony był schronić się w Namur u hrabiego de Baillet. Stąd zamierzał udać się do Verviers, by pożegnać Napoleona III, który pod baczną opieką generała Treskowa, odjeżdżał na wygnanie. Młody książę był jednak tak złamany na duchu i na ciele, iż nie czuł się na siłach ucałować po raz ostatni swego ojca i opuścił Namur bez pożegnania go.

Wsiadłszy do mizernego wagonu pierwszej klasy, książę Ludwik skierował się do Ostendy, a stamtąd udał się do Anglii. Czy widział, przejeżdżając przez lasy, otaczające Brukselę, iż poza nimi, w parku podobnym do ogrodów Wilhemshoehe, w odosobnieniu odciętym od świata, jak pałac Watykanu, spaceruje wśród kwietnych zagonów milcząca i daleka cesarzowa, rozmyślająca z gniewem o tych, którzy ją oszukali. Świadomość doniosłych wypadków, będących początkiem wymiaru słusznej kary nie dotarła do jej zamglonego umysłu. Nie wie ona nic o tym, iż siostra jej, jak nazywała cesarzową Eugenię, zmuszona była w przebraniu robotnicy uciekać z Francji, by żebrać łaski i współczucia po drugiej stronie La Manche. Lecz tego było jeszcze za mało dla Bonapartych. Na wadze losu szale nie były wyrównane, kalwaria dynastii Bonapartych musiała się dopełnić tak jak chciało przeznaczenie, by sprawiedliwości stało się zadość.

A Bazaine? Bazaine, który tak podle zdradził Karolinę? Któż mógłby przypuścić, iż stanie się on również zdrajcą swej ojczyzny, swych rodaków i że imię jego będzie odtąd synonimem nikczemnej zdrady? Któż mógłby przypuścić, iż piękny marszałek po powrocie z Meksyku znajdzie się pewnego dnia przed sądem wojennym, który wyda na niego wyrok śmierci, a piękna Józefina, słodka i urocza Józefina, marząca o prezentacji na dworze cesarza, będzie wiodła życie w nędzy i nienawiści, odpychana przez wszystkich, podczas gdy jej mąż odbywa karę w więzieniu na wyspie św. Małgorzaty i że wreszcie pewnego dnia ucieknie z nim do Hiszpanii?

Wszystko to jednak było niewystarczającym zadośćuczynieniem. Karolina milcząca i zamknięta w sobie, wsłuchiwała się, nie słysząc, w daleki pomruk Europy. I przeznaczonym jej było żyć jeszcze ponad pół wieku w absolutnej nieświadomości wielkich wydarzeń, które los niósł jakby pomstę za jej krzywdę. Karolina nic nie wiedziała, nie zaznała moralnej satysfakcji, gdy na murach Paryża ukazały się wielkie proklamacje, piętnujące winowajców:

„Francuzi! Wznieście ducha i wolę na poziom straszliwych klęsk, które niosą zgubę naszej ojczyźnie. Zwycięstwo nad przeciwnościami losu zależy jeszcze od nas i musimy pokazać światu, czym jest wielki naród, który nie chce zginąć i który potrafi zdobyć się na najwyższą odwagę w chwili groźnej katastrofy.

Metz skapitulował!

Jeden z generałów, któremu Francja zaufała, mimo wypadków w Meksyku, odebrał ojczyźnie w niebezpieczeństwie przeszło sto tysięcy obrońców. Marszałek Bazaine popełnił zdradę. Jako agent człowieka spod Sedanu, jako sprzymierzeniec najeźdźcy, nie bacząc na to, iż był obowiązany stać na straży armii, wydał w ręce nieprzyjaciela, nie usiłując nawet bronić się, 120.000 żołnierzy, 20.000 rannych, wraz z armatami, strzelbami, sztandarami i najsilniejszą twierdzą Francji, Metzem, dotąd nigdy nie shańbioną obcą przemocą.

Za podobną zbrodnię sprawiedliwość nie zna nawet dość wysokiej kary.

Francuzi, spójrzcie w tą odchłań, w jaką wtrąciło was cesarstwo. Dwadzieścia lat Francja znosiła korupcyjne rządy, które wysuszyły w niej wszystkie źródła życia i wielkości. Armia francuska, odarta ze swego narodowego charakteru, stała się nieświadomie narzędziem władzy i służalstwa i mimo bohaterstwa swych żołnierzy, jest skazana na zagładę wskutek zdrady swych wodzów, w chwili gdy niebezpieczeństwo zagraża ojczyźnie. W ciągu niecałych dwóch miesięcy 120.000 ludzi dostało się w niewolę nieprzyjacielską, oto ponury epilog naszych zasiłków wojskowych z grudnia.

Już czas obywatele, byśmy się opamiętali i pod opieką Republiki, której całości jesteśmy zdecydowani bronić zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz, winniśmy odnaleźć w największych nawet nieszczęściach, odrodzenie naszej moralności i naszej żywotności tak politycznej jak i społecznej. Najgorsze nawet klęski nie wzbudzą w nas ani popłochu ani wahania.

Jesteśmy gotowi do najwyższych poświęceń i w obliczu wroga, któremu wszystko sprzyja, przysięgamy nie ulec do ostatka. Dopóki choć jeden cal ojczystej ziemi pozostanie pod naszymi stopami, będziemy mocno dzierżyć okryty chwałą sztandar Rewolucji Francuskiej.

Nasza sprawa jest sprawą słuszną i sprawiedliwą. Europa to widzi, Europa to czuje, gdyż wobec niezasłużonych nieszczęść, jakie na nas spadły, spontanicznie, bez naszych próśb i nalegań, Europa protestuje, burzy się i szemrze. Odrzućmy złudzenia! Nie dajmy się zniechęcić ani zasmucić i dowiedźmy czynami, iż chcemy, iż możemy sami utrzymać nasz honor, niepodległość, niepodzielność, wszystko to co składa się na wolność i dumę Ojczyzny.

Niech żyje Francja! Niech żyje silna i niepodzielna Republika"!

XVIII

Podczas gdy Ludwik II, opętany na nowo swą romantyczną wyobraźnią, usiłował realizować swe nierealne marzenia, Bismarck unifikował Niemcy i tworzył cesarstwo Hohenzollernów. W pałacach Bawarii, wznoszących swe wysokie wieże wśród górskich szczytów, snuł się już cień szaleństwa. Stanley, wielki eksploatator Leopolda II, zetknął się po raz pierwszy z Livingstonem w Oujiji i król Belgów rozmyśla nad kolonizacją Afryki, która uczyni go pierwszym suwerenem Europy. Juarez, prezydent Republiki Meksykańskiej zakończył życie w 1872 roku. Mac Mahon został mianowany prezydentem Republiki Francuskiej; w Hiszpanii wali się spróchniały tron. Indianie zapomnieli już o Maksymilianie i w dniu 1 stycznia 1873 roku urządzają entuzjastyczną owację prezydentowi Lerdo, który uroczyście otwiera nową linię kolejową z Meksyku do Vera Cruz, jadąc osobiście o godzinie czwartej rano pierwszym oficjalnym pociągiem.

Co się stało z Chapultepec i Cuernavaca? Cesarstwo Meksykańskie nie jest już w Meksyku! Karolina, chodząc niekiedy wzdłuż wybrzeży stawu w Tervueren, podnosi z ziemi kamienie, waży je w dłoni i dotyka nimi gałęzi leszczyny i jesionów, wznosząc oczy ku niebu, jakgdyby szukając koron odwiecznych cedrów.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

LUCYNA ROKOMYSKA

1)

Biały Płomień

„Wanda leży w polskiej ziemi,
bo nie chciała Niemca.
Lepiej zawsze mieć swojego —
niźli cudzoziemca.“

ROZDZIAŁ I.

Malutka Luta śpiewała z zapałem i z całych sił kołysała ciężką, dębową kołyskę. Ale bliźnięta płakały i płakały, więc Luta podwoiła siły, kołysząc jeszcze mocniej. Taka ciężka była ta kołyska, — ale przecież dla takiego głupstwa nie będzie wołać mamy. Niania też dzisiaj nie ma czasu.

— Chyba zaśpiewam jeszcze raz, może im to pomoże — zdecydowała, kołysząc coraz mocniej.

„Wanda leży w pols“...

Nagle — trrrach!!! — i wszystko ucichło.

Kołyska leżała wywrócona do góry dnem, a spod niej wyglądała jedynie główka Luty z okropnym przerażeniem w wielkich, ciemnych oczach. Chwilę leżała cicho. Pod kołyską również było cicho.

— Pewnie bliźnięta zabite — przebiegło po roztrzepanej główce.

— Mamo! Mamo! — wzbił się od ziemi cienki, rozpaczliwy głosik.

Wbiegła mama z Resią. — Kołyskę ostrożnie podniesiono; zajęto się bliźniętami, które uspokoiły się nareszcie. Luta jednakże nie czekała na wynik; ledwo oswobodzona, co sił w nóżkach, wybiegła w pole.

Prawdę mówiąc — to te bliźnięta wcale jej się nie podobały! Ona już zupełnie, ale to zupełnie poszła w kąt... Mama nie brała jej już na kolana jak dawniej, aby objąwszy ją ramionami, opowiadać śliczne legendy i bajki... Luta najwięcej lubiła tę, jak to chleb przemienił się w róże w fartuszku królowej Jadwigi, — i o pierścieniu świętej Kingi, z którym sól przyszła do Polski...

Luta strasznie, okropnie kochała te chwile! Przytulała się mocno do mamy i siedziała cichutko, zasłuchana całą duszyczką.

— A teraz już nic z tego wszystkiego, przez bliźnięta — myśli odrobinę rozgoryczona.

— Ale nie szkodzi — pociesza się zaraz. — Poproszę tatusia, aby mnie zaraz nauczył czytać! I po tym niech sobie ma tylko z bliźniętami rozmawia! — Mnie tatuś kupi dużo książek, takich prawdziwych, nie z obrazkami, — i dowiem się wiele, wiele ślicznych rzeczy!



Zwycięska jeździecka ekipa polska, która odniosła wielki sukces w zawodach konnych w Insterburgu, zajmując pierwsze miejsce w konkursie o Puchaar Narodów i nagrodę Kanclerza Hitlera. Na zdjęciu od lewej rotm. Komorowski, rotm. Rylke, por. Pohorecki i por. Bildwin

— Aha — przypomina sobie jeszcze — i o gwiazdach też musi być jedna książka! Tak, zaraz powiem tatusiowi! Będę sobie sama czytała o „Wielkim Wozie“, „Kwoczce“ i tylu, tytu innych gwiazdach, o których mi tatuś opowiadał...

— La-la-la — poczęła nucić cieniutko, zapomniawszy już całkiem o „katastrofie“ z kołyską.

— La-la-la, la-la-la — śpiewała coraz głośniej, przykucając co krok na wilgotnej między ciągnącej się długą, zieloną wstążką między czarnymi, świeżo zaoranymi zagonami i wydłubując prawie z ziemi maleńkie, polne stokrotki — pierwsze kwiatuszki wiosny.

ROZDZIAŁ II.

— A w rok później — umarł tatuś.

Luta pamięta tę chwilę... Pamięta mamę klęczącą przy łóżku i płaczącą głośno... Tatuś nie mówił już... tylko z oczu patrzących na mamę i Lutkę płynęły dwie, wielkie łzy tak dziwnie migocące w blasku takiej dużej, żółtej świecy, którą ktoś trzymał...

W pokoju byli jacyś obcy ludzie... i było tak strasznio. Po tym zamknęły się oczy tatusia i mama poczęła jeszcze głośniej płakać... Widziała jeszcze, że jakaś pani obejmuje mamę ramionami, — a ją, Lutę wziął ktoś za rękę i prędko wyprowadził z pokoju...

Był wtedy straszny, wyjący wichurą wieczór listopadowy. Czarne, lecące nisko chmury znaczyły się raz po raz błyskawicami — i raz po raz w ślad za nimi dudnił przeciągle, głucho grom. Niania mówiła później, że ludzie dziwili się takiej strasznej burzy w tej porze roku. I mówili przy tym, że to najpewniej dlatego, ponieważ socjalista umierał. — Mama rozgniewała się okropnie na Resię! — A po tym, gdy Luta przysłuchująca się całej rozmowie — zapytała :

— Mamusiu, a co to znaczy socjalista? — czy to co złego? — powiedziała:

— Nie dziecko! Socjalista — to taki człowiek, który nie może znieść niewoli, — natomiast gorąco pragnie wolności swojej ojczyzny!

— — — — — — — —

...I pamięta jeszcze: siebie siedzącą na wysokiej bryce, z kimś kto ją trzymał, a naokoło pełno ludzi... morze głów! I trumnę unoszącą się jakby w powietrzu ponad wszystkimi tymi głowami... I mamę idącą zaraz za trumną takim ciężkim, wlokącym się krokiem. — Luta nie płacze, — nie może płakać, tylko ma wrażenie, że jej serduszko ścisnął ktoś w strasznie mocnej i lodowato zimnej dłoni tak, że chwilami nie czuje prawie jego bicia. Chwilami zaś trzepoce się tak prędko, prędko, jakby wyskoczyć chciało tam, do tej trumny... i do mamy idącej za nią...

Strasznie jest.

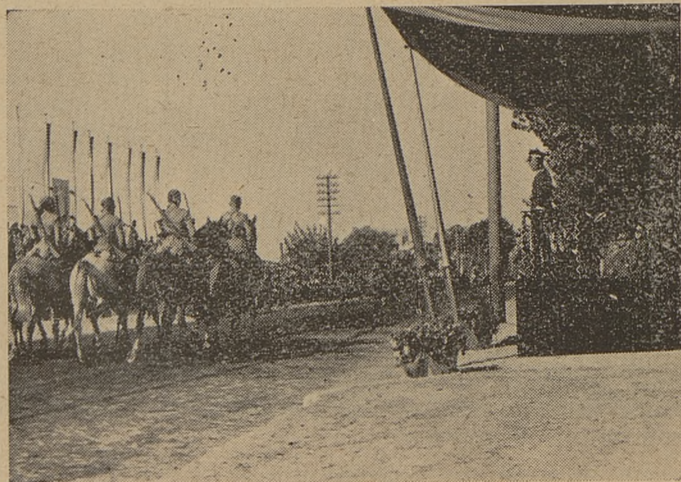
Drzewa, smagane wiatrem żalą się jakimś dzikim zawodzeniem, — to znów prawie ludzkim jękiem proszą o litość ogołocone z liści gałęzie. O, a teraz... chylą się tak nisko, jakby trumnę chciały wziąć w ramiona, lub jej się kłaniały żegnając, bo już coraz bliżej kościół, a za nim straszne, podłużne wzgórki i krzyże, krzyże, krzyże...

ROZDZIAŁ III.

Szły miesiące — lata.

Pani Ciembronowiczowa chyliła się w każde rano z pocałunkami nad objętymi jeszcze snem, roztrzepanymi główkami bliźniaczek, — całowała czoło Luty już zwykle nie śpiącej i szła do sklepu, gdzie po śmierci męża znalazła pracę, aby przyjść dopiero wieczorem.

Z początku przychodziła taka zmęczona, że nie uśmiechała się nawet wtedy, gdy Basia i Pita wydzierały sobie na wzajem mały stołeczek niosąc go pod jej nogi. — Dzieci chowały się prawie same. Z początku była jeszcze Resia, niania bliźniąt, ale gdy Basia i Pita trochę podrosły, opiekę nad domem i nimi objęła Luta.



Marszałek Śmigły - Rydz odbiera defiladę armii polskiej po zakończeniu manewrów na Wołyniu

— Jestem cztery lata od nich starsza, mamusiu — patrafię wszystko! — zapewniała matkę.

Luta z roztrzepanego dziecka stała się Jdziewczynką tylko trochę mniej roztrzepaną. Ale rzeczywiście potrafiła dużo! — Potrafiła dopilnować domu, ugotować jak umiała obiad i rządzić Basią i Pitą, jak chciała.

— — — — — — — —

Gdy „miłościwie nam panujący Franciszek Józef" rozpoczął wojnę z Serbią — Luta miała lat dziesięć.

Wojna, nic a nic, ją nie przerażała. Mama przecież powiedziała w ten wieczór, w którym dowiedziała się o wybuchu wojny, że tatuś teraz by się cieszył. Było to tak: Mama przyszła w ten dzień dość późno do domu, ale one wszystkie trzy czekały, nie śpiąc jeszcze. Gdy mama weszła — podbiegły jak zwykle z powitaniem. Mama wtedy schyliła się i objąwszy wszystkie razem ramionami, powiedziała z radosnym uśmiechem:

— Wojna, dzieci, będzie!

— Wojna, mamo? — zapytała poważnie Basia — więc dlaczego się uśmiechasz?

Mama nie odwiedziała na razie nic, tylko przytuliła je do siebie tak mocno, że przez chwilę tworzyły ciasną zbitą kupkę. A potem powiedziała:

— Tatuś by się teraz cieszył!...

Luta więc uważała teraz wesołość za święty swój i bliźniąt obowiązek. Imponowała też mocno swoim „poddanym" — Básí i Picie, jak i dzieciom niedaleko mieszkającej sąsiadki, które chodziły się do nich bawić.

— Naprawdę się nie boisz wojny? — pytały z niedowierzaniem cienkie, dziecinne głosiki, gdy fanfaronowała na ten temat.

— Pewnie, że się nie boję! — twierdziła stanowczo. — Gdybym się bała, to nie byłabym wesoła — prawda?

— No, tak! — przyznano jej po namyśle. — Ale jak przyjdą Austriacy i zaczną strzelać, to na pewno się zlękniesz!

— Nie zlęknę się! Zobaczycie!

I nie zlękła się.

Gdy zaczął się odwrót wojsk niemieckich i austriackich — ciche dotychczas miasteczko zalała fala żołnierzy spod berła zaborców. Pani Ciembronowiczowa musiała opróżnić pół domu na kwatery dla wojska. Huczało teraz w domu dzień cały, jak w ulu. W sadzie — śliczna, zielona murawa znikła zupełnie zdeptana ciężkimi buciarami żołnierzy mówiących po niemiecku. (W sadzie rozłożona była kuchnia.)

Luta poczęła przemyśliwać, jak tu pokazać dzieciom sąsiadki, że się wrogów wcale nie lęka. Po namyśle doszła do przekonania, że trzeba coś... ze śpiewu. Bić się przecież z nimi nie pójdzie, bo co by mama na to powiedziała? — Zaczęła więc zaraz uczyć bliźnięta piosenki „Albośmy to jacy, jeno chłopcy krakowiacy..." — jako do tego celu najodpowiedniejszej.

— To będzie bardzo dobre — myślała napominając Basię i Pitę, aby gdy przyjdą do tego miejsca „nie boim się Rusa, Prusa," najgłośniej, jak tylko mogą, śpiewały!

Gdy Basia i Pita śpiewały piosenkę jak z nut — Luta ustawiła je przy samych drzwiach. Sama stanęła za nimi i zamknąwszy najpierw przezornie drzwi na klucz, dała znak, że mogą zaczynać.

Zaczęły... Przy „Rusie i Prusie" było naturalnie najgłośniej. Prześpiewały tak parę razy w kółko ...i nikt, ku wielkiemu zmartwieniu Luty, drzwi nawet nie próbował otworzyć. (Wtedy miała się zacząć bohaterska obrona).

Trudno. — Odwaga Luty jednak była udowodniona. Tak przynajmniej ona sama twierdziła.

ROZDZIAŁ IV.

Były i smutne momenty w domu pani Ciembronowiczowej w czasie długiej wojny. Jeden — dzięki Picie z zakończeniem troszeczkę weselszym — kiedy to zaraz na początku wojny, w roku 1914 przyszła pierwsza szara, brzydka kartka z Rosji od wujka, męża ciotki Magdy, który zaraz w pierwszej bitwie dostał się do niewoli.

Pani Ciembronowiczowa zmartwiła się bardzo. Czytała raz i drugi — mając pełne łez oczy. Luta i Basia czekały spokojnie, aż im mama powie, co się stało i dlaczego płacze. — Pita natomiast nie mogła się doczekać. Zresztą — musiała przecież skorzystać z okazji... (Boże! jak ta Pita lubiła płakać!)

Odwróciła się więc co prędzej buzią do szafy i rozpoczęła, jak zwykle, od najwyższego tonu.

— Pita, może byś się wstrzymała chwileczkę, przecież jeszcze nie wiesz o co, a już...

— Wujka, dzieci — przerwała Lusie pani Ciembrowiczowa — zabrali Moskale do niewoli...

— Widzisz, że.. że... że... miałam rację — rozszlochała się jeszcze głośniej Pita — rzuciwszy rozżalone spojrzenie w stronę strasznej siostrzyczki.

— Tym razem, tak — uśmiechnęła się mimo żalu pani Ciembronowiczowa.

Pita jeszcze długo potem wywodziła na rozmaite tony, to spuszczając, to podnosząc, a wszystko razem modulując przedziwnie.

Trzeba przyznać, że Pita była w tym zakresie prawdziwą artystką.

Luta i Basia nie płakały, bo miały własne zdanie o tym. Pamiętały przecież co mówiła ciotka Magdzia, jak przyjechała do mamy zaraz po „wzięciu" wujka. Mówiła, że wujek jadąc na front płakał, że będzie musiał zabijać. (Wujek był bardzo pobożny).

— Wujek na pewno woli, że się tak stało — prawda Luta? — zaopiniowała Basia po wyjściu z pokoju mamy.

— Na pewno! Nie ma go więc co żałować — odpowiedziała Luta stanowczo.

— — — — — — —

Drugim smutnym gońcem była również kartka przybyła w rok później, w r. 1915 ze szpitala w Piotrkowie, od rannego Stefka Ciembronowicza, syna stryja Adama.

O, wtedy już ogólny żal zapanował w domu. Stefka pani Ciembronowiczowa bardzo lubiła, bo przypominał jej męża, do którego był nadzwyczajnie podobny. Dzieci zaś formalnie biły się o jego względy, gdy czasem przyjechał.

— Stefek nie jest zwykłym żołnierzem — miała Lula na drugi dzień po smutnej wiadomości „wykład" dla bliźniąt.

— Stefek jest legionistką Piłsudskiego — wiecie?

— Wiem. — Basia zrobiła pewną siebie minkę. Legiony stworzył Henryk Dąbrowski.

— Widzisz, nie wiesz! Legiony Dąbrowskiego, to są stare legiony, a te, w których jest Stefek są nowe i stworzył je Józef





Piękny widok doliny Chochołowskiej w Tatrach, skąd nastąpi start balonu stratosferycznego „Gwiazda Polska"



Dolina Chochołowska

Piłsudski! Mama to wszystko tylko mnie opowiedziała! Wam szkoda mówić i tak nie zrozumiecie i nie zrozumiałybyście — krzyczała tonem pełnym wyższości Luta.

— Nie musisz, ale jak Stefek przyjedzie, to... to mu zaraz poskarżę, że.. że nam nie chciałaś o nim opowiedzieć...

Pita już trzymała fartuszek przy oczach.

— Nie płacz, nie płacz — poczęła ją zaraz pocieszać Basia. — Jak Stefek przyjedzie, to nam sam wszystko opowie. — Nie potrzebujemy Luty!

Stefek przyjechał rzeczywiście w jakiś czas później na dwutygodniowy urlop. Rodzice Stefka nie żyli już, przyjechał więc do stryjenki. Było mu ślicznie w szarym stroju polskiego żołnierzyka i zawadiacko noszonej maciejówce, zdobnej polskim orzełkiem, trzymającym w szponach tarczę z dużą literą L. Pani Ciembronowiczowa krzątając się przy kolacji, brała co chwilę w dłonie wesołego chłopczyka w mundurze legionisty i całowała gorąco zwichrzoną czuprynę.

— Boże! Czyż to nie cud? Polska jeszcze w niewoli, a w jej domu polskim żołnierz! O, dzięki Tobie Panno Częstochowska! I dzięki temu wyśnionemu Wodzowi — twórcy tego wojska!

— Stefek! Opowiadaj nam wszystko! — tłuściutka Basia wgramoliła się na kolana legionisty.

— Jakto wszystko? — smarkule! Wszystkiego jeszcze, mam wrażenie, nie zrozumiecie — śmiał się Stefek.

— Luta też tak powiedziała — ciemna, jak u cyganeczki buzia Pity — skrzywiła się żałośnie.

— No, będę opowiadał — zgodził się Stefek. Tylko mi naprzód powiecie o czym chcecie wiedzieć — dobrze?

— Najpierw, jak Józef Piłsudski wygląda i jak chodzi ubrany? — podyktowała prędko Luta.

Stefek spoważniał w jednej chwili; wyprostował się dumnie i rozpoczął głosem, w którym brzmiała wyraźna nuta czci i miłości wielkiej:

— Komendant nasz ,Józef Piłsudski, chodzi w takim samym prostym, szarym stroju, jak mój — jak wszystkich nas legionistów. Wyróżnia Go tylko spośród nas mocna, chrobra twarz wodza! Orle oczy patrzące spod krzaczastych brwi umieją rozkazywać, pioruny ciskać na wroga i umieją po ojcowsku uśmiechać się do nas...

— O, gdyby można było — poszlibyśmy na Jego rozkaz nie raz jeden, ale sto razy w śmierć! Bo wiemy, że On nas wiedzie ku nowemu życiu, ku Zmartwychwstaniu!

Szczupła twarz młodziutkiego podporucznika nowych legionów pałała. Pani Ciembronowiczowej płynęły łzy po twarzy, a Luta złożywszy, jak do modlitwy chude rączki — wykrzyknęła gorąco:

— O, Stefek! Opowiadaj nam jeszcze... opowiadaj!

— Opowiadaj! — powtórzyły jak echo bliźnięta siedzące każda na jednym kolanie legionisty i zapatrzone w niego, niby w cudowną tęczę.

— Dajcie dzieci spokój — wzięła w obronę żołnierzyka pani Ciembronowiczowa. — Słuchało by się wieki, ale Stefek znużony drogą i dopiero co ze szpitala wyszedł. — Dalszy ciąg będzie jutro — uśmiechnęła się jeszcze do przeciągniętych buź dziewczynek.

Ale jutro jest jeszcze niepewne.

Więc stało się tak, że Stefek na drugi dzień nie opowiadał. Chodził naburmuszony, a Luta — dla dodania sobie fantazji, zaczynała raz po raz jakąś piosenkę.

Otóż stało się tak:

Lutę skusiła wypchana na „pękato" torba legionisty. Przyniósł ją przewieszoną przez ramię i wyglądającą tak podejrzanie.

— Tam są na pewno trofea wojenne — myślała Luta.

— Tylko jakie? — korciło ją dalej.

Gdy Stefek po południu wyszedł — nie wytrzymała... Po odpięciu z wielkim trudem mocno zaciśniętej sprzączki, okazało się, że w torbie są trofea, ale nie wojenne, tylko miłosne.

Boże! Co się tych listów wysypało! Cała góra! Przeważnie w różowych i niebieskich kopertach. A każdy prawie zaczynający się od słów: „Stefuś! Umiłowany mój żołnierzyku"! — Pisała jakaś „zawsze ta sama Józia".

Luta jak zatopiła się w tej, nieznanej jej dotychczas, lekturze, że nie słyszała kiedy wszedł Stefek.

— Luta! Co ty czytasz!? — krzyknął legionista zobaczywszy wysypane na podłogę wonne różowe i niebieskie liściki.

Luta porwała się z ziemi, cała czerwona. Umiała jednak, jak kot — skoczyć na równe nogi.

— O, Stefek! Takie śliczne masz listy i nic nie mówiłeś!...

Stefka formalnie „zatkało". — Na razie nie mógł w żaden sposób znaleźć odpowiedzi. Napchał nazad torbę listami i chodził zły do drugiego dnia.

Następnym dniem była niedziela. Pani Ciembronowiczowa miała dzień wolny od pracy, gotowała więc sama obiad — a... palił pod kuchnią Stefek. — Palił... różowymi i niebieskimi liścikami od „zawsze tej samej Józi"... Liścikami, które miały taki śliczny, romantyczny nagłówek: „Stefuś! Umiłowany mój żołnierzyku!"

— — — — — — — — —

Legioniści — to cudne, jedyne w świecie wojsko! Wojsko, umiejące przedziwnie pogodzić krwawy trud i znój drogi prowadzącej ku błyskającemu w oddali Świtowi — z beztroską, prawie swawolną myślą...

ROZDZIAŁ V.

Rok 1918. — Rok, złotymi zgłoskami zapisany w sercu każdego Polaka!

Przyszedł spodziewany, przeczuty, a jednak olśnił dusze — zapalił oczy radością jak coś upragnionego bez miary, a niespodziewanego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

ROMANTYZM ŻELAZNEGO SZLAKU

Ciąg dalszy ze str. 832.

piero coraz to płynniejsze linie, zwiększona szybkość, komfort wnętrza, perspektywa dalekich egzotycznych podróży, czynią pociąg jednym z rekwizytów nowoczesnego romantyzmu, wysławiającego postęp techniki, a ze starego romantyzmu przywodząc na myśl farysowską włóczęgę po szerokim świecie.

— — — — — — — —

Załączone dwa zdjęcia ilustrują dobitnie różnicę między „wozem parowym" z roku 1838 a nowoczesnym parowozem o liniach aerodynamicznych, produkcji 1938 r.

Mimo stulecia istnienia kolei żelaznej, nie straciła ona nic ze swej atrakcyjności, szczególnie w literaturze. Nie ma prawie powieściopisarza, biorącego czasy współczesne za tło swego utworu który nie wplątałby w tok akcji jakiejś sceny rozgrywającej się w pociągu.

Pełne walory „fotogeniczności" pociągu wykorzystała również Filmia. Ileż to razy podziwiamy na ekranie efektowne zdjęcie pędzącego w nocy pociągu, ileż to razy oglądaliśmy pełne napięcia sceny, rozgrywające się w przedziałach kolejowych.

Idąc z postępem czasu, zajrzyjmy do dziedziny rekordów „kolejowych". Rekordy w tym kierunku, jak w ogóle w świecie techniki, biją Stany Zjednoczone Am. Półn.

Ekspres „Hiawatha" przebiega kontynent z przeciętną szybkością 145 km./godz., a może rozwinąć maksymalną szybkość 160 km/godz. Oczywiście rozwinięcie tego rodzaju szybkości jest tylko wtenczas możliwe i potrzebne, jeżeli jeden przystanek od drugiego leży w odległości kilkuset kilometrów.

Inna, raczej już romantyczna atrakcja, czeka, szczególnie zakochane pary, na odcinku Nowy Jork — South Norwalk. Na przestrzeni 65 km pociąg przejeżdża przez jedną olbrzymią aleję róż pnących. Czarowny widok 57 tys. krzaków różanych stwarza bajkową iluzję. Amerykańskie towarzystwa kolejowe polecają podróż w tym kierunku wszystkim młodym małżeństwom, odbywającym swą podróż poślubną.

Tak, ale tego rodzaju przyjemności podróżowania mają miejsce tylko na drugiej półkuli. My jednak, chociaż wybieramy się w krótką podróż swojskim „samowarkiem", przebiegającym w godzinie niekiedy tylko 40—50 klm czujemy przed każdą podróżą żelaznym szlakiem jakiś radosny niepokój, lekką febrę, która nosi ogólnie przyjętą nazwę „gorączki podróżniczej".

Nie trzeba sobie wbijać w głowę różnych prozaicznych niedogodności, czekających nas w drodze. Umiejmy być romantykami chociażby tylko wtedy, gdy przed podróżą odezwie się w nas żądza włóczęgi. Natura nasza żąda ciągłego urozmaicania życia, a cóż może być lepszym urozmaiceniem jak pochłanianie przestrzeni na żelaznym szlaku.

RAJ KOBIET

K. KULCZYCKA.

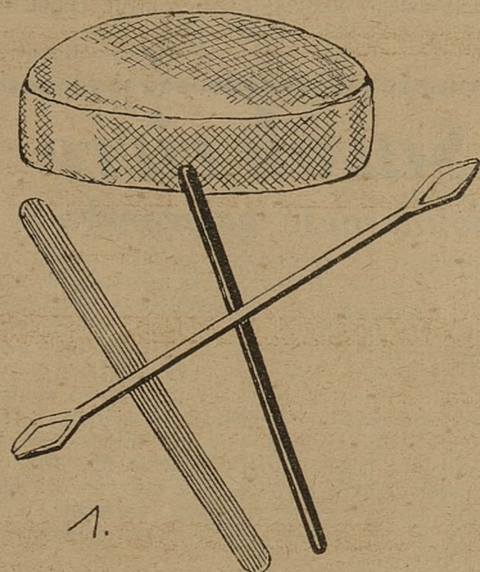
Kurs robót siatkowych t. zw. filet

Uwzględniając prośby naszych Czytelniczek rozpoczynamy z dniem dzisiejszym kurs robót siatkowych. Kurs będziemy przeprowadzać w każdym drugim nr. „Moich Powieści".

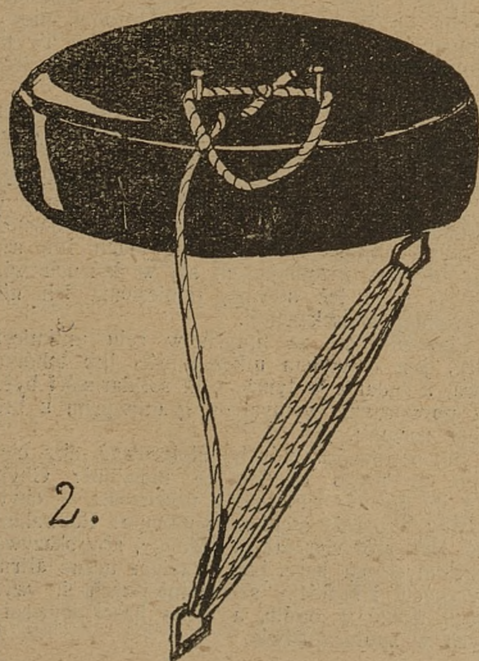
Objaśnienia postaramy się robić jak najdokładniej, aby Czytelniczki nasze z łatwością mogły wykonać wszystko, co podamy w naszym kursie.

A więc zaczynamy!

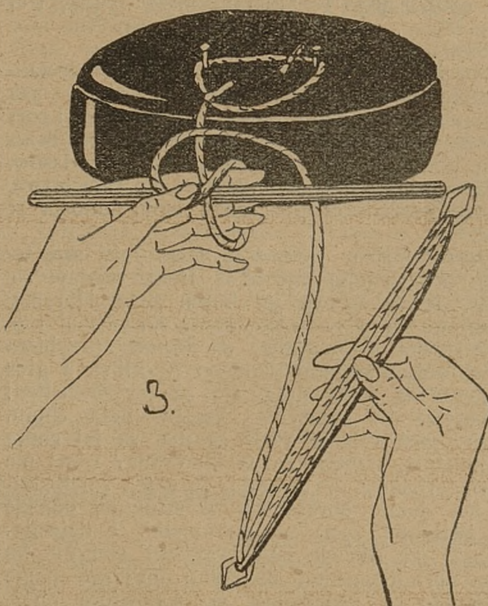
Do wyrobu siatki potrzebujemy iglicy stalowej lub kościanej, wałeczka albo linijki z drzewa lub kości, nici lnianych oraz poduszki dość ciężkiej i mocno wypchanej. Od grubości wałeczka, względnie szerokości linijki zależy wielkość oczek siatki, t. j. siatka będzie miała podwójny rozmiar objętości tych narzędzi.



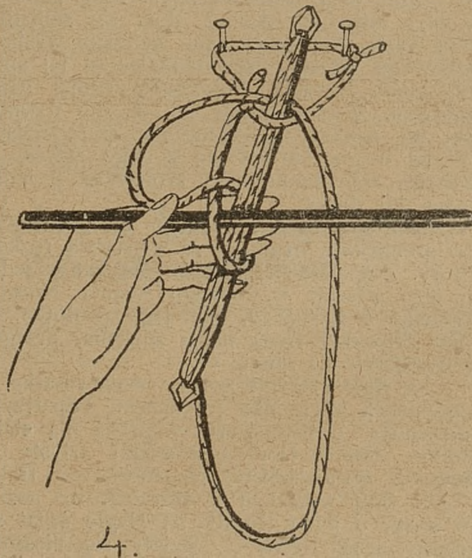
Rozpoczynając siatkę nawijamy nić na iglicę, lecz nie nakładamy jej zbyt wiele, by lekko przesuwała się przez oczka. Poduszkę umieszczamy przed sobą na stole, blisko jego brzegu, wpinamy dwie mocne szpilki, zakładamy naokoło nich pętlę z mocnej nitki i przywiązujemy do niej wolny koniec nitki, nawiniętej na iglicę z lewej strony, gdyż robimy siatkę od strony lewej ku prawej, zob. ryc. 2.

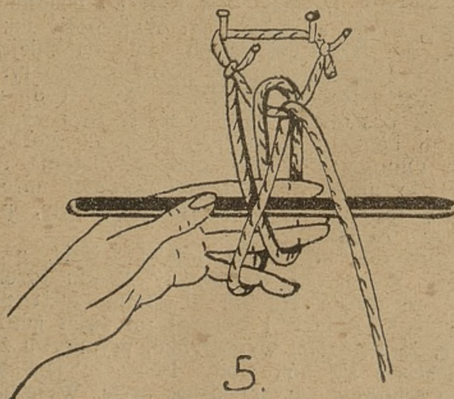


Radzimy początkującym zakładać pętlę na 2 szpilki, gdyż na jednej szpilce kręci się, co utrudnia niewprawionym zrozumienie pracy. Następnie trzyma się wałeczek palcem wskazującym i dużym lewej ręki — w tej to pozycji pozostaje przez cały czas roboty — następnie kładziemy nitkę do przodu przez wałek i trzy palce, owijamy ją naokoło nich i przytrzymujemy dużym palcem, zob. ryc. 3, dalszą część nitki umieszczamy poza wałek, zob. ryc. 3.

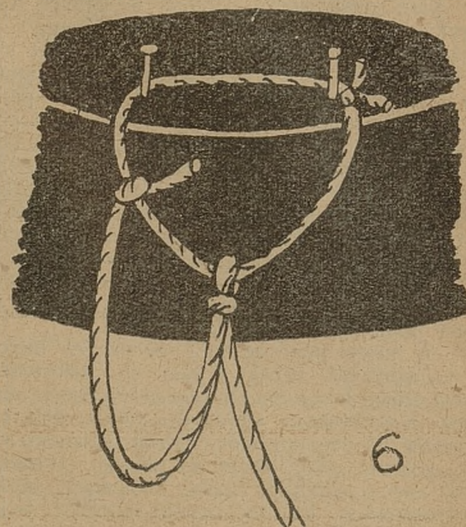


W dalszym toku pracy przesuwamy iglicę przez nitkę umieszczoną na palcach, poza wałkiem przez pętlę na poduszce, ryc. 4, i wciągamy nitkę powoli, przyczem przytrzymujemy ją piątym palcem, zob. ryc. 5. Następnie spuszczamy nitkę z piątego palca, jest to najbardziej krytyczna faza roboty, gdyż należy uważać, by wałeczek opierał się ściśle o pętlę na poduszce, od tego zależy równość oczek. Gotowe oczko widzimy na ryc. 6.

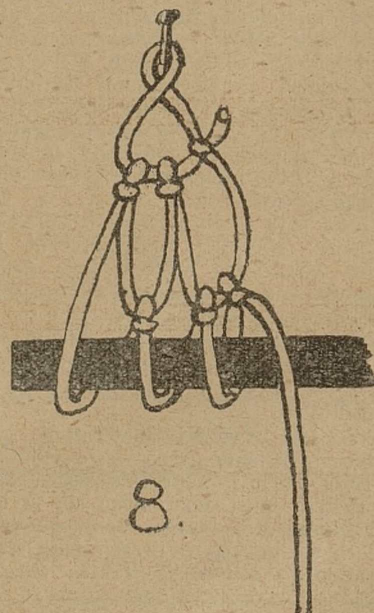


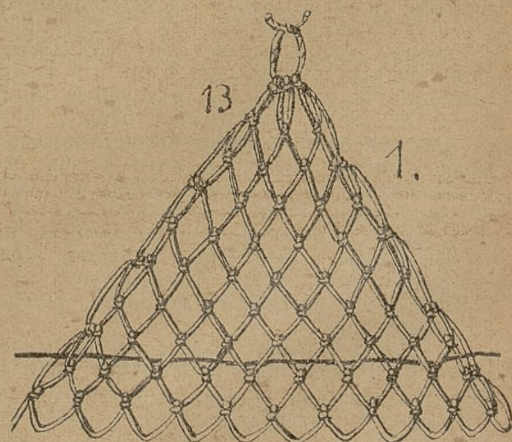


Zazwyczaj robimy prostokąt lub kwadrat, od tego też zaczniemy naukę. W tym celu musimy w pierwszym rzędzie robić dwa oczka, ryc. 7, poczem odwracamy robotę, przyczem zostawiamy pętlę na jednej szpilce, ryc. 8.



Dodawać należy zawsze na końcu rzędu po prawej stronie, robiąc do ostatniego oczka dwa węzełki, ryc. 8. Przy końcu rzędu znowu odwracamy robotę itd., w ten sposób, dodając zawsze na końcu rzędu jedno oczko, zrobimy





trójkąt dowolnej wielkości, a jeśli pierwsza próba nie będzie zbyt udała, możemy ją ostatecznie użyć jako siateczkę po myciu głowy, gdyż — siatki niestety pruć nie można!

W następnej lekcji pokażemy spuszczanie oczek celem uformowania kwadratu lub prostokątu.

MARYSKA K.

Zdradziecka fotografia

NOWELA

(Dokończenie.)

Zapomniałam o świecie, który tak przedtem kochałem. O Boże, co będzie ze mną, gdy pani odejdzie?!... Chyba się rzucę do Horynia, by na jego dnie szukać panią — moją rusałkę... Irena się śmieje. Podobają się jej jego tęskne poetyczne wyznania. Jego bujny i świeży, jak woń żywicznych lasów, jak podmuch bezkresnych stepów, jak odświeżający powiew Horynia — oddech upaja ją niewysłowienie. Pociągała ją jego prymitywna, dzika, nieskalana siła. A jego czarowała jej subtelna kultura, upodabniająca ją do dziwnie promiennego, wonnego kwiatu... Z dwu innych światów zeszli się i to pociągało ich wzajemnie.

Wierzby nachylały się nad falami Horynia tworząc na nich dziwnie misterne witraże z swych poplątanych gałązek.

— A może pani zechce... wyjść za mnie? — wymamrotał rybak i sam się zawstydził swych słów. Irena śmiała się ucieszona i ubawiona. — Owszem, wyjdę — tylko zrób się prawdziwym bogiem, który jeździ własnym au tem, posiada swój pałac w mieście, słowem, obróć się z dzikiego bożka Horyniaw, bożka cywilizowanego, bo my rusałki miejskie tylko takim bogom hołdujemy... I widząc jego zmartwienie pocieszała dalej. — Zbyt dużo nas dzieli. Zrozum, że mi też szkoda — zostawiam tu swoje serce, ale jednak nie mogę tu zostać sama. Wnet rozwiałaby się piękna bajka Horynia...

— Panienko, a jak mam się zamienić w tę istotę? Proszę mnie nauczyć, panienka wszak tak mądra, zna się na wszystkim... — No wiesz, — śmiała się Irena — jesteś wszak bóżkiem, jesteś mężczyzną, winieneś sam znaleźć drogę... Zapytaj Horynia... Horyń śmiał się obiecująco, pewnie przewiecał żywiołem niewyczerpanych, młodzieńczych fal... — Masz przepiękny głos, jeśliby dać mu trochę kultury, zamieniłby w drugiego Kiepurę. Zaśpiewaj, chłopcze...

I rybak śpiewał.

W głosie jego czuło się świeżość bezkresnych pól, jasność porannej rosy, brzękot leśnego strumyka. Wydawało się, że jego żywiołowa pieśń podbiła samą przyrodę, która przymil kła upokorzona. Pieśń zaś wznosiła się mocar nym kołataniem dzwonów, głuszyła błyskawice rwała powietrze, pędziła wody horyńskie, unosiła ze sobą duszę w bajeczną krainę piękna nieziszczalnego...

— Boże jaki doskonały materiał na śpiewaka — wzdychała smętnie Irena — posiadasz skarb, łaskę Bożą talentu, naprawdę jesteś bożkiem, który niestety musi zmarnować się w tej bezkresnej głuszy...

Wydało się jej, że w oczach jego wyczytała ból zranionego zwierzęcia. Łódka ślizgała się po bezkresie wód. Smutek panował dokoła. By stłumić ten ból, rybak zaśpiewał i śpiew ten rozbrzmiewał, jak płacz duszy ludzkiej, zranionej przez człowieka, jak płacz budzącego się, lecz zakutego w kajdany Ducha... Pieśń — skarga plątała się w zakrętach Horynia, tonęła na jego dnie, niknęła w oparach smętnej wieczornej mgły... Lśniący, seledynowy księżyc zawisł na niebie, jak dziwny, okrągły obraz namalowany przez fantastę - futurystę, symbolizujący zimne, tajemnicze serce świata, obce wzruszeniom. Serce to nie drgnęło na odgłos ludzkiej skargi. Pieśń sięgała księżyca i wracała wraz z jego obojętnym promieniem, niezdolna wzruszyć niebieskiego potwora, hipnotyzującego ludzi szałem księżycowym...

Serce Ireny przepełniło się żalem, rzewnością, rozczuleniem...

— Śpiewaj kwiatom, wodzie, ptakom; śpiewaj sobie, no i mnie, mój zaczarowany śpiewaku! Będę twą rusałką, ty zaś mym bożkiem. Zamieszkamy w tajemniczym pałacu szczęścia, prze znaczonego bogom... Nie rzucę ciebie, zawsze będę obok, tylko bądź, jak bóg silny i wytrzymały, jak bóg umiej być wszędzie obecnym i nawet nie widząc mnie bądź przy mnie... Wszak jesteś bożkiem...

Apollo patrzył na Irenę lśniącym od szczęścia wzrokiem. Jej oczy — to dwa tajemnicze księżyce na niebie jej twarzy, które czarują, hipnotyzują go.

Pieśń przełamała logikę, pieśń rozrzewniła Irenę. Irena czuje, że należy mu się to pocieszenie, Irena kłamie, że nigdy go nie opuści, a w sercu ma przeświadczenie, że właśnie żegna go, że ostatni raz widzi, że musi uciekać... Miłość nie jest wybredną... Irena czuje, że miłość już puka do jej serca, że musi uciekać, skoro nie chce być przyłapaną przez drapieżną czarownicę — miłość. Zbyt dużo wszak ich dzieli... Nie rozstaniemy się z sobą — mówią bezwiednie usta — twa pieśń dźwięczy; jak dzwon zwiastujący hymn miłości wiecznej — jak żmij wylazłeś z Horynia i pożarłeś moje serce...

Irena wyjechała nazajutrz. Wyjechała skrycie, bez pożegnania, by nie przeżywać bólu rozstania, nie martwić tego chłopaka, który wszak był z innego świata. Niech będzie to snem. Jak sen przyszło, jak sen minęło... Miała słuszność Wirginia — miłość nie przebiera. Szkoda jej było tylko, że przez próżność zmąciła spokój jego sielankowej duszy... Tak, Irena uciekła... nastraszyła ją dzika, kapryśna moc miłości...

Swoiste, słodko-cierpkie wspomnienie zostało u Ireny po tej miłostce. Wiało od niej — jak i z oddźwięku jego głosu, co brzmiał uporczywie w jej uszach — świeżością pól, brzękiem porannej rosy, wieczorną modlitwą lasów. Kilka niewinnych pocałunków — oto cała ofiara, pieczęć nieskalanej pieszczoty, którą uniosła ze sobą.

Opera. Śliczny Romeo wyznaje Julii swą tęskną, młodzieńczą miłość. I Irenie wydaje się nagle, że to śpiewa jej bożek znad Horynia, przeszywa ją posmak pieszczoty horyńskiej i ze zdziwieniem konstantuje, że Romeo przybiera w jej oczach wygląd dzikiego Apollina, a głos dźwięczy tą samą nutą. Co za podobieństwo! Przeszywa ją strach — czyżby była chora, czyżby cień rybaka szedł za nią, za jej chorą wyobraźnią, wzbudzając te złudzenia? Irena nie lubiła artystów — uważała, że scena zniekształca ich dusze, obraca ich w sztuczne, dalekie od świeżości życia — marionetki. I dziwnie: rodzące się uczucie nad brzegami Horynia ku jego prymitywnemu, prostemu bożkowi, nagle wybuchło tu płomiennie do sobowtóra „bożka", do jego drugiego, miejskiego wcielenia, noszącego cechy, których brakowało oryginałowi.

I jeśli nad Horyniem odgrywała rolę władczej bogini, to tu czuła się upokorzoną, zdawało się zbyt dużo ich dzielić. Role się zmieniły. Teraz Irena nie opuszczała żadnego występu ukochanego artysty, przypominającego jej śpiewaka znad Horynia. Przeżywała cudną bajkę wyobraźni. Wydawało się jej, że oto nawpółdziki jej Apollo znad Horynia, czarodziejską, bajeczną magią obrócił się w tego artystę — śpiewaka, wszechpotężnego królewicza z bajki, władcę jej duszy.

Kochała obydwóch; jednego za świeżość i moc prymitywu, drugiego za wspaniałą rozkosz kultury. Zespalali się w jej wyobraźni w jeden typ tego właśnie wyśnionego Adama. Niestety urojonego i dalekiego, jak jego prototyp...

Bal artystów. Irena nieco znużona, przegląda bawiących się gości.

— Na dnie Horynia znajdę swoją rusałkę — rozbrzmiewa nagle nad jej uchem. Popatrzyła, wstrząśnięta, przestraszona — przed nią stał... Apollo... bożek Horynia... wielki artysta — śpiewak... Uśmiechnięty, elegancki, we fraku. — Jak żmij wylazłem z Horynia, by pożreć twe serce, o moja Rusałko!... Nagle świat zawirował przed Ireną — działy się niesamowite rzeczy, — wstrząs był zbyt silny — świat bajki i świat rzeczywistości w krótkim spięciu oszołomiły ją — straciła przytomność...

— Moja droga Rusałeczko, — mówił pieszczotliwie, trzymając jej rękę po ocuceniu — jakże długo szukałem cię! Wyjechałaś tak nagle, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Pokochałaś mnie, jako biednego rybaka, a więc miłością prawdziwą. Więc twój dziki bożek postanowił obrócić się w tego prawdziwego boga, o jakim marzyłaś, by zabrać cię do Olimpu. Czy się zgodzisz?... Irena tuliła się do niego ze słodyczą pierwszej miłości... Tak, to był on... nareszcie spotkany, prawdziwy Adam!...

Przebacz mi, wszak jestem artystą, grałem rolę. My artyści też chcemy czasem przenieść się ze świata złudzeń w krainę życia prawdziwego. Złudził i obrzydł mi świat marionetek, zapragnąłem wypoczynku, prymitywu życia. zachciało się pól, wody, lasów — tam właśnie schowało się prawdziwe życie. Wyjechałem więc na wakacje do głuchego zakątka Wołynia — do Aleksandrii. W rozkoszną krainę, gdzie panuje jeszcze prymityw. W nim chciałem odrodzić się, zaczerpnąć świeżych sił. Zamieszkałem w szałasie z rybakami i wnet poczułem się prawdziwym rybakiem. Przywdziałem ich konopny strój i czułem się radosny i szczęśliwy. Stokroć szczęśliwszy świadomością, że jednak widocznie uchroniłem się od zblazowania, skoro tak dobrze czułem się w tym prymitywie. Podobał się mi lud nadhoryński — mocny, świeży, dobroduszny, gościnny, poetyczny. Wciągnąłem się tętno życia tego ludu, słuchałem ich legendy i opowiadania i naprawdę polubiłem tę uroczą krainę, piękną i nie zepsutą jeszcze przez politykaństwo i kulturę... Przyjemnie mi było tak się zespolić z ludem.

Łapałem rybę, woziłem ją na sprzedaż, udając 100 proc. chłopa, naśladowałem miejscową gwarę i wraz z chłopami dobrodusznie pokpiwałem „z pańskich zachcianek" — tam z dołu zarysowały się wyraźniej nasze drobnomieszczańskie inteligenckie wady. Paliłem machorkę, przypatrywałem się gwiazdom, oddawałem ciało rozkosznym pieszczotom zdrowotwórczej przyrody, marzyłem o rusałkach. I oto złapałem cię, moja piękna Rusałeczko! Teraz odrodzony i szczęśliwy, pogański bożek Horynia, zaprasza cię, śliczna Rusałeczko, z wizytą do niemniej pogańskiego kolegi... bożka Himena... Czy zgoda?

Tak, zgoda była przypieczętowana długim pocałunkiem, słodkim i płomiennym, jakim obdarza się tylko... bogów...

Aleksander Monoz.

●●

Savoir vivre

Solidarność koleżeńska

Solidarność koleżeńska, to taka piękna zaleta człowieka. Krzewiona w szkołach, w wojsku i w ogóle w społeczeństwie, zdąża do tłumienia egoizmu i do budzenia szlachetniejszych uczuć altruistycznych. Zwraca ona uwagę na wyższe cele, wskazuje ideały i podaje środki do ich osiągnięcia, a przez to dodaje młodości powagi i pielęgnuje kiełkującą samodzielność. Jakże dumny jest młodzieniec po spełnieniu pewnej ofiary z siebie dla drugich, a jakże przykro i wstyd temu człowiekowi, którego młodzi współtowarzysze sędziowie potępiają za to, że przekroczył prawa koleżeństwa i solidarności!

Solidaryzacja rozwija się tym lepiej, im cięższe są warunki bytu i stąd szerzyła się u nas najwięcej w czasach niewoli, kiedy to wyborcy sprzysięgli się na to, aby odebrać narodowi ojczysty język, religię i nawet myśl o niepodległości państwa polskiego. Solidarność świeciła wtedy triumfy, w armii, w szkołach i poza szkołą. Ciągle były wtedy przykłady heroizmu i poświęcenia w myśl przysłowiowej zasady: „Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego!"

I dzisiaj tę piękną zaletę pielęgnujemy. Ale na jedno należy zwrócić uwagę, a mianowicie na to, że często, zwłaszcza młodzi, niewyrobieni, fałszywie pojmują solidarność. Ta też okoliczność skłania do wypowiedzenia paru słów o solidarności koleżeńskiej.

Należy pamiętać, że solidarność dopuszczalna jest tylko w dobrym, a nie w złym! Jeżeli tedy kolega dopuści się złego czynu, nie wolno stosować tej pięknej zasady solidarności w celu zasłony kolegi przed karą. Byłoby to nadużyciem solidarności! Byłaby to solidarność fałszywa! Skoro ktoś popełni jeden lub szereg błędów, zazębiających się w łańcuch win, winien mieć też odwagę poniesienia ich nieuchronnej konsekwencji.

Chowanie się za innych w celu uniknięcia kary, jest dowodem nikczemności lub tchórzostwa, a żądanie w tymże celu solidarności byłoby potwornym, wymysłem, graniczącym z brakiem rozumu.

Jak winowajca mógłby stolerować, aby cierpieli za niego drudzy — niewinni? Chyba był by wyzuty zupełnie z uczciwości — chyba miałby zupełnie stępione sumienie! Pozwalanie zaś, aby ogół cierpiał za jednego, aby skazywać niewinnych na karę, jest brakiem uczuć altruistycznych i brakiem szlachetniejszych i wyższych uczuć w ogóle, a cechą haseł wywrotowych w społeczeństwie. *J. B.*

ZE ŚWIATA

Szczególny napiwek

Panny, obsługujące gości w cukierniach i kawiarniach Londynu, nie mogą się skarżyć na złe powodzenie. Zarabiają bardzo dobrze, tym więcej, że zwyczaj pozostawiania napiwków przyjął się dobrze i pod tym względem Anglicy są niezwykle solidni. Niemniej jednak zdarzają się różne wypadki, że w braku drobnej monety po podaniu rachunku przy sprzątaniu znajdują panny — zamiast brzęczącej gotówki, dyskretnie położonej pod tacą czy serwetką, względnie spodeczkiem — znaczki pocztowe, bilety do teatrów, kabaretów, kinoteatrów, oraz wiele innych tym podobnych zastępczych napiwków.

Ostatnio jednak miał miejsce niezwykły wypadek. Oto jedna z usługujących panienek na stole, przy którym podawała starszej pani, po jej odejściu między cukierniczką a dzbanuszkiem od śmietanki, znalazła malutką kotkę, która przy jedwabnej wstążeczce, zawiązanej na szyi, miała przypiętą karteczkę z napisem: „Twój napiwek — miła panienko". Niewątpliwie „miła panienka" byłaby wolała brzęczący napiwek, lecz musiała się pogodzić z faktem dokonanym, obejmując w posiadanie kotkę, która wkrótce stała się pupilką całego personelu pierwszorzędnej cukierni londyńskiej City, gdzie pracowała owa panienka. Kotka dobrze „edukowana" sprawowała się poprawnie, niemniej zarząd firmy wywiesił na ścianach następujące zawiadomienie: „P. T. szanownych gości prosimy o zmianę grubszej gotówki na drobne w kasie, względnie u obsługujących, ponieważ każdorazowo służymy dostateczną ilością drobnych. Z tych względów inne formy napiwków na przyszłość nie będą przyjmowane".

Wstęp do kina i penny

Jeden penny, to na stosunki angielskie tyle, ile u nas grosz. Takie groszowe kina powstać mają na pokładach angielskich statków wojennych. W tych dniach admiralicja angielska zamówiła 150 aparatów projekcyjnych, które mają być zainstalowane na pokładzie angielskich krążowników. Z zamówionymi już poprzednio 33 aparatami projekcyjnymi marynarze angielscy będą posiadać kina na 183 statkach wojennych. W myśl nowych instrukcji obsługa radiowa ma być wyszkolona jednocześnie w obsłudze aparatów kinowych. Koszty instalacyjne aparatów protekcyjnych ponosi admiralicja.

Wstęp do kina okrętowego kosztować będzie dla marynarzy jeden penny tygodniowo. Będzie to niewątpliwie najtańsze kino na świecie.

Wybawczyni żołnierzy Legii Cudzoziemskiej

W małym mieście Tasa w Marokku została aresztowana i skazana na śmierć tancerka, baronówna Irena Sirvens, która przez dłuższy okres urodą i tańcem czarowała bywalców baru papuziego, którego była właścicielką. W procesie wyszło na jaw, że jest ona córką b. marszałka dworu carskiego, przybyła po rozmaitych wędrówkach i przygodach do Tasu.

Piękna Sirvens uchodziła wśród swoich wielbicieli za osobliwie niezdobytą i dlatego tym bardziej uderzył wszystkich fakt, że nagle zaczęła faworyzować starszego i brzydkiego prefekta miejscowej policji, Duvatela.

Powodowany zazdrością jeden z młodych oficerów Legii Cudzoziemskiej nazwiskiem Armand Tullier zaczął śledzić tancerkę i Duvatela i wkrótce wykrył, że tancerka organizowała niezawodną pomoc dezertującym legionistom, a jej oddany wielbiciel prefekt policji dostarczał uciekinierom fałszywych paszportów.

Irena Sirvens przyznała się otwarcie do popełnionego przestępstwa, motywując swoje postępowanie tym, iż narzuciła sobie obowiązek pomagania maltretowanym legionistom do wydobycia z piekła, jakim jest Legia Cudzoziemska. Oczywiście czynna ingerencja w niedoli żołnierzy zjednała sobie wdzięczność i uwielbienie. Biedacy ci nazywali ją „Aniołem opiekuńczym", co nie przeszkodziło, że sąd wojskowy w Casablanca wydał wyrok potępiający nocą którego Irena Sirvens i prefekt Duveal poniosą karę śmierci.

Gigantyczny reflektor

Jak donosi prasa francuska, uczeni francuscy i czescy głowią się obecnie nad zbadaniem atmosfery do wysokości 60 kilometrów. W tym celu oświetlić chcą wymienioną przestrzeń gigantycznym reflektorem, który znajduje się obecnie w stadium konstrukcji. Przygotowania zaszły podobno tak daleko, że już w najbliższym czasie uczeni będą już w stanie przeprowadzić ten eksperyment.

Siła światła budowanego reflektora wynosić ma 30.000 świec. Pierwsze doświadczenie przeprowadzone ma być w Pirenejach.

Włoski monopol filmowy

Rząd włoski przystępuje coraz radykalniej do usuwania obcego elementu z krajowej produkcji filmowej. Obecnie wydane zarządzenie utrąca bezpowrotnie obce agentury filmowe, zatrudniające w 80 proc. żydów, których gwałtownie się Włosi wyzbywają.

Mianowicie, dekretem ogłoszonym we włoskiej Gazecie Urzędowej udzielono Państwowemu Instytowi Kinematograficznemu w Rzymie monopolu na kupno, przewóz i rozdział zagranicznych filmów dla Włoch i kolonij włoskich. Firmy mające w toku umowy z zagranicznymi dostawcami, winny w ciągu 10 dni złożyć Instytowi kopie swoich umów, który ustali warunki dalszego ich wykonania, bądź przejmie je od firm. O ile właściciele firm jednej lub drugiej propozycji nie przyjmą, umowy będą anulowane bez prawa do odszkodowania.

Małpy kasperami

W Sjamie — tak twierdzi pewien podróżnik używa się małp jako kasjerów. One to mają zadanie odróżniania fałszywych monet. W Sjamie bowiem specjalnie wiele napotyka się falsyfikatów, tak zręcznie podrobionych, że człowiek odróżnić ich nie może, a czynią to świetnie małpy. Każdą większą monetę podaje kupiec małpie, która smakuje ją. Jeżeli moneta okaże się dobrą, małpa wrzuca ją do miseczki, z chwilą kiedy okaże się ona podrobioną, małpa wypluwa ja na podłogę, przy gwałtownych okrzykach i pomruku. W jaki sposób małpy zdołają odróżnić dobre monety od złych i odwrotnie, pozostanie tajemicą mieszkańców Sjamu, ale zdolność małp w tym kierunku jest faktem dowiedzionym.

Mężowie kalitomijscy są bardzo wrażliwi..

Wiadomo, że wśród niektórych plemion afrykańskich zachował się dość osobliwy zwyczaj: gdy kobieta jest w ciąży, jej mąż przez dziewięć miesięcy nic nie robi, odpoczywa. Żona pracuje już za niego. Niedość na tym, dzień urodzin małego dzikusa jest dla afrykańskiego ojca wcale przyjemny: taki osobnik kładzie się do łóżka (albo — kładzie się na to, co w Afryce nazywają łóżkiem, leży sobie przez kilka dni, troszczą się o niego żona i jej przyjaciółki, daje mu się najlepsze potrawy, głaszczą go i pieszczą.

Ale tak jest w Afryce. Nieprawdopodobne są więc informacje, jakie otrzymaliśmy z San Francisco, o mężach kalifornijskich. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Otóż w Kalifornii powstał niedawno zakład... dla mężów, urządzony z najwyższym komfortem. Zakład ten, a raczej „ochronka", czy też „żłobek" dla żonatych bobusiów, ma na celu zapewnienie spokoju i ciszy mężom, których żony oczekują rozwiązania. W pięknych, luksusowo urządzonych, cichych pokojach „odpoczywają sobie" biedne, zdenerwowane łamagi. Podczas „godzin krytycznych" specjalny goniec lata jak opętany od zakładu położniczego do „ochronki", w której siedzą przyszli tatusiowie, i informuje o „przebiegu zdarzeń".

Niespokojny tatuś pali dostarczone przez „zakład" drogie papierosy, pije herbatę, żre ciastka, a co pięć minut wbiega do pokoju (na palcach) zdyszany goniec i „uspakaja" wrażliwego mężusia.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Krzyżówka
N. N.

1	2	3	4		■	5	5	6	7	8
2				■	2	■	6			
3			■	9		13	■			
4		■	10				14	■	8	
	■	11			■	13		15	■	
■	12			■	■	■	14			■
19	■	15		17	■	16			■	62
18	20	■	17					■	23	
19		21	■	22			■	24		
20			22	■		■	25			
21					■	26				

Znaczenie wyrazów.

Poziome:

1) czółno 2) chwast 3) chwyta (staropolsku) 4) nazwa karty (wspak) 5) płaszczyzna do wyświetlenia obrazów 6) skaleczenie 7) żałobna zasłona 8) zaimek (wspak) 9) inaczej wręczył 10) przyrząd do palenia 11) kamienica 12) prezent 13) część sztuki 14) potwierdzenie 15) motyl nocny 16) dźwięk 17) twórca 18) rysunek 19) imię żeńskie (zdrobn.) 20) nazwa pasty do zębów 21) nicpoń 22) przysłówek 23) nuta 24) oprawca 25) skroplona para wodna 26) lennik.

Pionowe:

1) zwierzę domowe 2) liczba 3) bogini (łac.) 4) inicjały autora krzyżówki 5) inicjały angielskiego pisarza (wspak) 6) skorupiak 7) przewinienie (wspak) 8) społeczność 9) inaczej wręczę 10) kształt 11) wręczyć 12) ogród biblijny 13) płacze 14) odtwórca 15) taniec 16) część działa 17) pojazd (2 przyp. l. mn.) 18) biczysko (wspak) 19) dobry duch 20) rzeka w Europie 21) wąż (wspak) 22) domek dla owadów (wspak) 23) odrębność 24) ptak 25) bożek słońca 26) minerał.

Bilety wizytowe
ul. Wla - Ka.

ALA STAMYTRAN

KIRA SOWNYCZ

KOLA DEM

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 21 października b. r.

Rozwiązania zadań z numeru 40 „Moich Powieści":

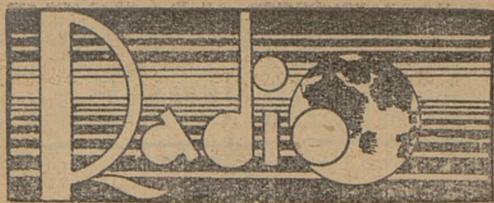
I Przekładanka:

G R N O	Z E S C	C Z N I
C N S Z	I E T U	K O J E
A W P O	I E M A	L E G A

Grzeczność nic nie kosztuje, a wiele pomaga,
II Szarada: Poniechówek.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Pilecki Emil — Bydgoszcz, Kamiński Jerzy — Łasin, Laskowski Kazimierz — Poznań, Bogucki Zyg. — Poznań, Świda — Grodno, Stefan Podchalicz — Lwów.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Pileckiemu z Bydgoszczy i Podchaliczowi z Lwowa.



Niedziela, dnia 16 października 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja z uroczystości Korpus Ochrony Pogranicza w Stołpcach 11.45 Program oświatowy w sezonie jesienno-zimowym omówi prof. Henryk Mościcki, kierownik wydz. oświatowego P. R. 12.03 Poranek symfoniczny w wyk. orkiestry symfonicznej Pomorskiego T-wa Muzycznego 13.10 Muzyka obiadowa (z Poznania) 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.15 „Wesele księżackie" — słuchowisko regionalne 16.45 Józef Haydn „Jesień" — fragment z oratorium „Pory roku" — koncert 17.40 „Podróż po Warszawie" — wodewil 19.20 Przemówienie gen. Kruszewskiego, d-cy K. O. P. 19.30 Transmisja ze świetlicy K. O. P. — wieczornica żołnierska 20.00 Fragmenty suit — koncert z płyt 21.00 Mozaika muzyczna — koncert 21.40 „Woltyżerka Dropsy-Mops" — wesoła syrena 22.20 Muzyka taneczna ze Lwowa.

Poniedziałek, dnia 17 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Pogadanka dla kupców i rzemieślników 13.30 „Jan Sebastian Bach" — audycja muzyczna dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Ania w szkole" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.30 Recital fortepianowy Jana Bereżyńskiego 17.00 Chcę mieć silny charakter — odczyt 17.15 Ze śpiewnika Moniuszki — koncert z Poznania 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Koncert rozrywkowy w wyk. orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Recital wiolonczelowy Maurice Marechala 22.00 Koncert symfoniczny — transmisja z Paryża.

Wtorek, dnia 18 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Mam 13 lat — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania na organach Wurlitzera 16.25 Kamil Saint-Saens: Sonata klarnetowa op. 167 — koncert 16.50 Litwa współczesna — reportaż 17.05 Pieśni w wyk. Stani Zawadzkiej 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla dzieci 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 19.35 Koncert rozrywkowy z Berlina (zdjęcie dźwiękowe) 21.00 Koncert symfoniczny z Wilna 22.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 22.15 Muzyka kameralna.

Środa, dnia 19 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.15 Dom i szkoła: Trudność współpracy — odczyt 16.30 Recital śpiewaczy Mieczysława Grąbczewskiego 17.00 W 125-tą rocznicę bohaterskiej śmierci ks. Józefa Poniatowskiego — odczyt 17.15 Reportaże z baletów: „Polski królewicz na dworze Medyceuszów" — audycja słowno-muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: Gospodarczy czy społeczny punkt widzenia 19.00 Pociąg w nieznane — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Wieczór autorski Stanisława Wasylewskiego 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Czwartek, dnia 20 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 „W takt muzyki" — audycja dla szkół powszechnych 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowę technika z młodzieżą przeprowadzi W. Frenkiel 15.15 Kłopoty i rady: „Nie mam co na siebie włożyć" 15.30 Muzyka obiadowa (z płyt) 16.15 Idziemy do kopalni — odczyt dla młodzieży licealnej 16.35 Koncert solistów (z Torunia) 17.30 Recital śpiewaczy Aleksandra Michałowskiego 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 „O tytułach utworów muzycznych — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Ork. P. R. 21.10 Koncert popularny w wyk. ork. Rozgł. Wileńskiej 21.40 „Niepokój miliardera Shurmana" — fragment z powieści 22.00 Chór i zespoły wokalne opery „La Scala" (płyty) 23,05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 21 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Skąd ta wrzawa, skąd ten ruch, kto odgadnie ten jest zuch" — zagadka dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.30 Pieśni Karola Szymanowskiego w wyk. S. Korwin-Szymanowskiej 16.50 Społeczeństwo ptaków — pogadanka 17.00 Miniatury kwartetowe — koncert z Poznania 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Maria" Malczewskiego w Teatrze Wyobraźni 19.30 Koncert rozrywkowy z Poznania 21.00 Chór Polskiego Radia 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 Nowe przemiany poezji polskiej — szkic literacki 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 22 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci „Servus holenderski śledziu" 15.30 Muzyka obiadowa z Krakowa 16.30 Popołudniowy koncert symfoniczny 17.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 17.50 350-lecie gimnazjum Św. Anny w Krakowie" — pogadanka 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków zagranicą 19.15 Wiązanki operetkowe w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej 21.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.



WYROZUMIAŁY WNUCZEK

— Czy bardzo cię bolało, kiedy ci babcia dała w skórę?

— Eee, prawie nic. Babcia jest taka słaba

— To czemu tak się darłeś?

— To dla jej satysfakcji. Takim starszym osobom trzeba w ten sposób, od czasu do czasu zrobić przyjemność...!

SAMORZĄD

— Jak ci się zdaje, jaki też będzie nasz przyszły zreformowany samorząd miejski?

— I... taki sam pewnie, jak mój domowy. Ja się na wszystko zgadzam, a moja żona sama rządzi...

ZABAWA W RAJ

— Wisiu, zabawimy się w Adama i Ewę w raju !— mówi czeroletni braciszek do starszej siostrzyczki.

— To co będziemy robili?

— Ty mi dasz jabłko, a ja je zjem.

JESZCZE O SZKOTACH

Mac Kern mówi do Mac Jefrra:

— Wiesz co, znam nową doskonałą anegdotę o Szkotach.

— Doskonale, opowiedz.

— Daj mi pół pensa, to ci opowiem.

Mac Jefry pokłada się od śmiechu i woła:

— Doskonała... Doskonała anegdota.

SŁONIE MAJĄ DOBRY NOS

W zwierzyńcu nowojorskim zdarzyło się, że jeden z 12-tu słoni zaziębił się i kaszlał. Jako lekarstwo otrzymał wiadro wódki. Powiadają, że na drugi dzień wszystkie słonie zaczęły kaszleć.

ODPOWIEDŹ

— Dlaczego oskarżony siedział trzy miesiące w więzieniu?

— Bo nie chcieli mnie prędzej wypuścić...

BRZYDKI PESYMIZM

Pan Wacio i panna Mania siedzą na otomanie. Sami. Słońce już zaszło i w pokoju panuje miły półmrok. I pan Wacio i panna Mania milczą. Wreszcie pan Wacio ośmiela się postawić dyplomatyczne pytanie:

— A gdybym tak teraz panią pocałował?

— To co?

— To by się pani na pewno na mnie obraziła!

— Panie Waciu! — odpowiada wtedy p. Mania. — Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, to musi pan się oduczyć tego ciągłego pesymizmu!

ŚRODEK NA POROST WŁOSÓW

— Najlepszym środkiem na porost włosów, jest muzyka.

— Jakto?

— To jasne! Przecież wszyscy sławni muzycy mają piękne, długie włosy.

DLA HIGIENY

Ojciec tłumaczy obszernie synkowi, że dla higieny trzeba obierać jabłko przed jedzeniem, po czym daje mu jedno.

Po pewnym czasie pyta synka:

— Zjadłeś jabłko?

— Tak.

— Obrałeś je?

— Tak.

— A co zrobiłeś ze skórką?

— Zjadłem!

BYZ PIĄTEJ KLEPKI

Spotykają się dwaj wariaci. Jeden z nich ma narysowane dokoła oka kółko.

— Co to jest? — zapytuje drugi.

— jak to co? Monokl!...

— Hm... a dlaczego ty właśnie nosisz taki malowany monokl?

— Żeby zaoszczędzić tasiemki!

NIESPODZIANKA

Stary kapelmistrz orkiestry wiejskiej ciężko zaniemógł. Odwiedza go jego mały siostrzeniec Wojtuś.

— Wuju, powiem ci coś nowego.

— Co, mój mały? — szepce chory ledwo dosłyszalnym głosem.

— Kiedy umrzesz, cała orkiestra będzie ciebie odprowadzała i będzie grała marsza żałobnego.

W tej samej chwili wchodzi do izby ojciec malca. Słyszy jeszcze ostatnie słowa Wojtusia i wymierza mu potężnego klapsa.

— A ty głupi smyku jeden. Toś ty już wszystko wygadał. Toć to miała być niespodzianka!

POŚPIECH

Naczelnik małomiasteczkowej straży ogniowej wchodzi do salonu fryzjerskiego i mówi: Proszę mnie ogolić...

— W tej chwileczce!

— Ale proszę się śpieszyć, bo my właśnie jedziemy gasić ogień!

PIERWSZY POPIS

— Przedstawiam ci nowego tatusia Adasiu.

— Dobrze mamusiu, ale weź go na miesiąc na próbę, abyśmy wiedzieli, czy będzie się nam podobać.

SPRYTNY TADZIO

Tadzio idzie z matką do miasta i po drodze widzi pana z monoklem. Zapytuje mamy:

— Mamuisu ten pan należy także do Ubezpieczalni Społecznej, prawda?

— A po czym poznałeś, Tadziu?

— Dlatego, że dali mu tylko połowę okularów.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.